

# GŁOS

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie . . . . . Rs. 7 kop. —  
Półrocznie . . . . . „ 3 „ 50  
Kwartalnie . . . . . „ 1 „ 75  
Miesięcznie . . . . . „ — „ 60

Za odnośnienie do domu  
dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca  
się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-  
meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincyi  
i w Cesarstwie:

Rocznie . . . . . Rs. 9 kop. —  
Półrocznie . . . . . „ 4 „ 50  
Kwartalnie . . . . . „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld. — 18 m.  
Półrocznie . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-  
tor Redakcyi po kop. 10 za  
wiersz petitowy lub za je-  
go miejsce. Reklamy po  
kop. 25.

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA  
BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden  
zeszyt dzieł naukowych.

**TREŚĆ:** Bank ziemski w Poznaniu.

Antysemityzm Głosu, przez J. K. Potockiego.

Optymistyczny pesymizm, przez J. Książycę.

Matematyka jako przodowniczka nowej epoki, przez  
Felicyję Próchnikową.

Z dziedziny wychowawczej, przez M. Brzezińskiego.

Z niwy literackiej swojej i obcej, przez T. T. Jeża.

Głosy: Informacje „Tygodnika Powszechnego“. — Spółka  
rybacka. — Regulamin obowiązków służbowych na drożce  
Iwangrodzko-Dąbrowskiej. — Pan Hozer zagalopował się.

Z kraju, przez J. Nieborskiego.

Korespondencja: z pow. mławskiego, przez ng.

Przegląd społeczny: Łomża, Radom, Wilno, Kamienskoje,  
Petersburg, Kraków, Lwów.

Przegląd polityczny.

Kronika powszechna.

Odpowiedzi od redakcyi.

Ogłoszenia.

Odcinek: Złe przeczucie, przez S. Żeromskiego.

W dodatku: Sposób d-ra Heidenhoffa, napisał Edward  
Bellamy. (Ciąg dalszy).

### Bank ziemski w Poznaniu.

Z powodu zamieszczonego w numerze 51  
Głosu artykułu p. t. „Na mylnej drodze” o-  
trzymałszy z Poznania, od osoby, blisko  
oznajmionej z działalnością Banku ziemskiego  
sprostowanie, które „celem wyświeślenia pra-  
wdy” poniżej dosłownie przytaczamy. Za-  
znaczamy jednak, że chociaż autor stara się  
uwzględnić tylko zarzuty faktyczne, w sa-  
mej rzeczy różnice jego i naszych zdań opie-  
rają się wyłącznie prawie na różnicy poglą-  
dów na zadania banku i są, według jego wła-  
snego wyrażenia, „kwestyją sporną teoretycz-  
nie”. Przy dokładniejszym określeniu i uwy-  
datnieniu tych różnic okaże się to wyraźnie.

#### I.

Szereg oskarżeń, wymierzonych w artykule  
Głosu przeciw kierownictwu Banku ziemskiego,  
kulminuje w zarzutach, że zarząd powoduje  
się chęcią otrzymania możliwie największego  
zysku z zaniedbaniem zadań społecznych Ban-  
ku ziemskiego, i że wyzyskuje włościan, na-  
bywających parcele, na rzecz bankrutującej  
szlachty.

Zarzuty te wynikają częściowo z indywidu-  
alnych zapatrywań autora na zadania banku  
ziemskiego i są kwestyją sporną teoretycznie;  
częściowo, polegając na mylnych kombinacy-  
jach, mijają się z faktyczną prawdą i z tego  
względem potrzebują sprostowania.

Pan J. L. P. jest zdania, że Bank ziemski  
powinien wyłącznie zajmować się parcelacją,  
nie ciągnąc z tego interesu żadnych zysków,  
a zatem nie dawać żadnej dywidendy, lecz  
tylko rozdzielać pomiędzy włościan ziemię, po-  
wodując się tą samą filantropiją wobec chło-  
pów, którą potępia wobec szlachty.<sup>1)</sup>

Zaznaczając z góry, że w tutejszych stosun-  
kach jakiegokolwiek antagonizm pomiędzy szlach-  
tą a włościaństwem nie istnieje i że wywoły-  
wanie jakiejś walki szlachecko-chłopskiej u  
nas jest nie tylko anachronizmem, ale i zdroż-  
nością doktrynerską, konstatuję przedewszys-  
tkiem, że Bank ziemski żadną filantropiją na  
żadną stronę się nie powoduje i powodować  
nie może.

Byłoby to wprost samobójstwem dla banku,  
tak pod względem społecznym, jak finanso-  
wym.

Nie przeczę bynajmniej, że zadanie Banku  
ziemskiego ma doniosłość społeczną, lecz sądzę,  
że bank spełni to zadanie przedewszystkiem  
wtedy najlepiej, gdy kierować się będzie zdro-  
wymi zasadami finansowymi.

Społeczeństwo, składając kapitały do Banku  
ziemskiego, ma prawo wymagać, aby pieniądz,  
odjęty innym gałęziom produkcji, nie zosta-  
wał nieplodnym w znaczeniu ekonomicznym,  
choćby dla celów najidealniejszych, lecz,  
aby mnożył się nam i mnożył przez to bogac-  
two narodowe. Jeżeli kierownicy Banku ziem-  
skiego w swoim czasie odzywali się w tym  
duchu do społeczeństwa, wzywając do składek  
i zapewniając, że kapitały, złożone w celach  
parcelacyjnych, będą użyte pod każdym wzglę-  
dem ekonomicznie, to dzisiaj nie mogą podług  
rady pana J. L. P. rozdać zyski pomiędzy na-  
bywców parcel, pocieszając akcjonaryjuszów  
ideałami filantropii chłopskiej. Sądzimy, wbrew  
zdanu pana J. L. P., że większość akcjonar-  
yuszów bynajmniej by temu nie przyklasnę-  
ła. I słusznie! Im uboższe społeczeństwo, tem  
więcej dbać powinno o to, żeby każdy grosz  
jego się oprocentował; w każdym też zdrowym  
przedsiębiorstwie kapitał swój procent przy-  
nosi; jeżeli procentu tego nie przyniesie, to albo  
jest dowodem, że przedsiębiorstwo nie jest  
zdrowym, albo że opanowała go niebezpieczna  
kryzys, wywołana nieprzewidzianymi okolicz-  
nościami. Jeżeli stoimy na zasadzie, że w sta-  
nie włościańskim istnieją siły odpowiednie i  
materyjał, ażeby przez parcelację i rozmno-  
żenie osad włościańskich naprawić niedomagania  
rolnictwa i utrzymać więcej ziemi w rękach  
własnych, to też te same siły muszą się  
przyczynić, aby instytucja, pracująca dla ich  
rozwoju, mogła się ostać, rozwinąć i prospero-  
wać finansowo; gdyby zaś praca instytucji na  
obranem polu nie była zyskowną, byłoby to  
smutnym dowodem, że bank wogóle pracuje na  
niewłaściwym gruncie, naraża się na straty i  
ostatecznie szkodę przyniesie gospodarstwu na-  
rodowemu.

Ideały filantropijne pana J. L. P. na rzecz  
włościaństwa są zresztą niewykonalne przy  
tak małym kapitale zakładowym, jakim pra-  
cuje bank ziemski; byłoby może łatwiejsze w  
zastosowaniu, gdyby społeczeństwo mogło się  
zdobyć na złożenie — nie jednego, nawet nie  
jednej setki — ale kilku setek milionów. Czy  
jednakże ofiara taka mienia narodowego była-  
by korzystną — to inna kwestycja. Jeżeli odpo-  
wiednich sił ekonomicznych niema w stanie  
włościańskim w ks. Poznańskim, to ich na-  
wet setki milionów nie rozbudzą; jeżeli są, to  
dla rozbudzenia tych sił ekonomicznych, któ-

rych żywołem jest praca, darowizna setek  
milionów może w danym razie być więcej zgu-  
bną, niż przydatną. Tylko niekzemne żywioły  
społeczne wzdychają do darowizn. Zdrowe in-  
tencje włościaństwa naszego zmierzają, dzięki  
Bogu, do samodzielnego wypracowania się e-  
konomicznego o własnych siłach, byleby do te-  
go roztworzyć im pole i ścieżki wygładzić. Chłop  
w uznaniu wartości tej pomocy i w  
praktycznym zrozumieniu potrzeb ekonomicz-  
nych chętnie swą część do zysków banku  
ziemskiego dorzuci; zresztą i u włościanina  
bank ziemski zyska tylko na powadze i tyle  
potrzebnem mu zaufaniu, jeżeli finansowo sta-  
nie na zdrowych i silnych podstawach.

Wogóle o skutecznej pracy społecznej banku  
ziemskiego dopiero wtedy praktycznie będzie  
można wyrokować, gdy bank zbuduje sobie po-  
tężne i trwałe podwaliny finansowe. Do tego  
zmierzają usiłowania dzisiejszych kierowników  
banku i, jak sądzę, zmierzać nie przestaną,  
dopóki stać będą na swoim stanowisku.

Gdyby p. J. L. P. był obeznany z progra-  
mem banku ziemskiego i śledził postępy jego  
w ostatnim sprawozdaniu, byłby mógł do-  
strzedz kierunku dróg, któremi bank ziemski  
zmierza do powyższego celu:

z jednej strony skoncentrowanie sił ban-  
kowych w pracy finansowej (która jest  
istotnym powołaniem instytucji akcyjnej)  
przez wydzielenie i przelanie pracy orga-  
nizacyjno-społecznej na sukursywne in-  
stytucyje,

z drugiej strony rozszerzenie działalno-  
ści finansowej na te gałęzie stosunków  
rolniczych, które wymagają wzajemnej  
pomocy i uzupełnienia.<sup>2)</sup>

I tak: parcelacje wymagają regulacji hipo-  
tek; na hipotekach szukają lokacyi instytucyje,  
emitujące listy zastawne, albo kapitały  
prywatne; kapitały, zanim znajdą odpowiednią  
lokacyję hipoteczną, spływają jako depozyta  
do banków; depozyta i oszczędności czekają  
częstokroć stosownej chwili, żeby służyć do  
zakupna posiadłości ziemskich; właściciele ziem-  
scy potrzebują regulacyi swoich stosunków hi-  
potecznych, albo wystawiają majątki na sprze-  
daż lub dzierżawę; likwidowane majątki mogą  
czasami być uregulowane przez operacyję hi-  
poteczną lub wydzierżawienie, a czasami mu-  
szą być sprzedane; sprzedaż, stosownie do wa-  
runków miejscowych, może być korzystniejszą  
w całości, albo też na parcele i t. d. Przy-  
kłady te możnaby dalej rozprawdzać; we-  
wnętrzny ich związek jest widocznym i uspra-  
wiedliwi bez głębszych explikacyj konieczność  
traktowania tych interesów razem, z ogólnego  
i centralnego punktu widzenia. Jeżeli nato-  
miast p. J. L. P. twierdzi, że to jest odwraca-  
niem funduszów banku ziemskiego i działal-  
ności kierowników od właściwego celu, to już  
pozostawić musimy jego dowcipowi, jak zdanie  
swoje uzasadnić potrafi. (d. n.)

1) Autor „sprostowania” powiada, że,  
zdaniem naszym Bank powinien wyłącznie  
zajmować się parcelacją i „nie ciągnąc z in-  
teresu tego żadnych zysków, a zatem nie da-  
wać dywidendy”.

Istotnie, sądymy, że Bank jedynie parcelacją zajmować się winien, chociażby dla tego, że takie było zdanie większości akcjonariuszów. Nie oznacza to jednak wyrzeczenia się wszelkich zysków. Koszta parcelacji muszą być zwrócone, od funduszów zaś, które Bank w interes wkłada, pobiera przecież procent. Z tego źródła akcjonariusze z czasem otrzymywać mogą pewną, acz niewielką, dywidendę. Nie żądamy bynajmniej filantropii na rzecz chłopów, wszelkie więc wykrzykniki, że „tylko nikczemne żywioły społeczne do darowizn wzdychają” oraz zapewnienia, że „chłop chętnie swą część do zysków Banku ziemskiego dorzuci” są w danym razie, co najmniej, zbyteczne.

Ci, co składali pieniądze na akcje Banku ziemskiego, nie mieli wcale zamiaru stworzenia tylko pożytecznej instytucji finansowej. Trzeba pamiętać w jakim czasie projekt ten podniesiono i w jaki sposób akcje rozkupowano. Dawali pieniądze albo ludzie zamożni, albo też pewne koła czy grupy składały drobne kwoty. Ani jedni, ani drudzy z pewnością o zyski niewiele dbają. Akcjonariusze chcą rzeczywiście, ażeby kapitały, złożone przez nich, użyte były „ekonomicznie”, nie znaczy to jednak wcale, żeby dawały dobry procent. Idzie o to żeby za pomocą względnie nieznacznych środków osiągnąć jak największą korzyść społeczną, nie zaś o rozwój finansowy przedsiębiorstwa. Tego rodzaju zdanie, że dbać trzeba przede wszystkim, aby „pieniądz mnożył się sam i mnożył przez to bogactwo narodowe” jest, co najmniej, „kwestyjną sporną teoretycznie”.

Kilkakrotnie autor zaznacza, że Bank ziemski jest instytucją finansową. Rozumie się, że inaczej być nie może, ale nie wynika z tego, żeby w działalności swej dążył do tych

samych celów i stosował tę samą metodą postępowania, co inne instytucje, wyłącznie tylko finansowe.

2) Przelanie pracy organizacyjno społecznej na instytucje pomocnicze może być bardzo pożytecznym, zwłaszcza wobec ograniczenia prawnego zakresu działań Banku. Dla czego jednak Bank ma jednocześnie „rozszerzać działalność finansową na te gałęzie stosunków rolniczych, które wymagają wzajemnej pomocy i uzupełnienia”, tego autor nie objaśnia.

Wylicza natomiast cały szereg czynności, pozostających w ścisłym związku ze sobą: „Parcelacje wymagają regulacji hipotek, na hipotekach szukają lokacyi instytucje, emitujące listy zastawne, albo kapitały prywatne, właściciele ziemscy potrzebują regulacji swoich stosunków hipotecznych, albo wystawiają majątki na sprzedaż lub dzierżawę, likwidowane majątki mogą być czasem uregulowane przez operację hipoteczną lub wydzierżawienie, sprzedaż może być korzystniejszą w całości, aniżeli na parcele.”

Jedynie regulowanie hipotek dla parcelacji może być zadaniem Banku. To zaś, że właściciele potrzebują regulacji swych stosunków hipotecznych, że wydzierżawienie majątku może być dla nich korzystniejszym, aniżeli sprzedaż, a sprzedaż w całości zyskowniejszą, niż na parcele—to wszystko nic a nic Banku obchodzić nie powinno. Właśnie w tego rodzaju czynnościach widzimy zboczenie w kierunku jeżeli nie filantropii—to popierania interesów szlacheckich. Jest to rzecz tak jasna, że nie potrzeba wcale „dowcipu” do uzasadnienia zarzutu, więc i ja w danym razie nie będę swego dowcipu fatygować, chociaż mimowolna szczerłość wyznania pana Jastrzębca nastęrcza dobrą sposobność po temu.

## „Antysemityzm” Głosu.

### I.

Bawiącemu na dalekim Wschodzie naszemu odbiorcy p. J...mu—szczerze niepodobał się t. zw. *antysemityzm Głosu*, więc, jak to często robią czytelnicy, gdy dziennik zbudzi w nich jaką wątpliwość lub niesmak, napisał on do redakcyi list długi, wyrażając już smutek swój, już oburzenie, już nadzieję poprawy grzesznego pisma. W imię czego występował i potępiał? Rzecz jasna, że w imię ogólnoludzkich ideałów i szlachetnych uczuć. Na jakim—w polemice swojej stał gruncie? Rozumię się, że na ekonomicznym. Czem zakończył swoją rozprawkę? Naturalnie, rozpaczliwym zaznaczeniem niemożności rozstrzygnięcia kwestyi. Ponieważ nieporozumienia podobne podziela z panem J., o ile wiem, wiele osób, więc sposobność ta posłuży nam do zaznaczenia raz jeszcze naszego, w tej mierze stanowiska.

W imię ogólnoludzkich ideałów i uczuć *Głos* uznawał też niezmierną szkodliwość żydów. Na gruncie ekonomicznym nie stawiał tej kwestyi nigdy i dla tego nie wiem, po co przeciwnicy mówią mu zawsze o tak zwanych „kułakach”, którzy mają gorzej wyzyskiwać, niż żydzi. Nakoniec, co do rozpaczliwej niemożności rozwiązania sprawy, to wszyscy, z małemi zmianami, zgadzamy się na jedno. Zkądże więc tak częste napomnienia *Głosu* za „antysemityzm”? Źródło ich dwojakie. Najprzód czytelnicy nie zawsze umieją skalę wymagań swoich do formy i rodzaju literackiego utworu zastosować, przez co dość często jakiś efekt drażliwy, choć niewinny, oburza ich więcej, niżli niesprawiedliwość w parlamentarnej popelniona formie. Powtóre—i to jest najważniejsza—przeciwnikom naszym do wydania sądu słusznego przeszkadza... doktrynerstwo. Powiedziano w piśmie: „nie będziesz karał i nagradzał ludzi podług barwy włosów”, a wnet znikły im z przed oczu wszystkie, wiekami wyrobione różnice kulturalne ludów, wyrokujące o tem, czy i o ile współdziałanie dwu szczepów odmiennych może być dla obu zgubnym lub pożytecznym. Powiedzia-

## ZŁE PRZEGZUCIE.

Od godziny już ziewałem na dworcu kolejowym, oczekując nadejścia pociągu. Wytrzeszczałem z nudów oczy do kilku po kolei dam, również ziewających w rozmaitych kątach sali, doczekałem się nawet skutku „robienia oka”, gdyż jakaś młodzianka blondynka z białym noskiem, usteczkami, jak listki róży, z oczami, jak listki błękitnej portulaki, pokazała mi zwinięty w trąbkę język, czerwony, jak listek polnego maku—i... nie wiedziałem co dalej przedsięwziąć dla zabicia czasu.

Na szczęście weszło do sali dwu młodych studentów, zabłoconych aż do bród—mierzwinek, zmęczonych drogą i roztargnionych. Jeden z nich szczególnie, jasny blondyn o przecudownym profilu, był dziwnie rozmarzony, czy zrozpaczony. Usiadł w kacie, zdjął czapkę i co chwila chował twarz w dłoń, Towarzysz kupił i wręczył mu bilet, usiadł obok i co chwila pociągał go za rękaw.

— Czegóż rozpaczasz? — Jeszcze może być wszystko dobrze,—Antoś, słyszysz...

— Nie—to darmo, umrze, ja wiem, — może nawet już...

— Dajcie pokój!—Czy ojciec miał kiedy tego rodzaju ataki?

— Miał,—od trzynastu lat na serce chory—pił... czasami. Pomyśl, nas ośmioro, małe dziewczęta, matka słabowita. Do emerytury brakuje półtora roku... To dola!

— Zobaczysz, że mu przejdzie,—Antek!..

Dzwonek uderzył; w sali powstał zamęt. porywanie pakunków, deptanie się wzajem po odciskach, tłumne odpychanie od drzwi wchodowych szwajcara, gwar i zamieszanie. Wsiadłem do tego samego wagonu klasy trzeciej, w którym umieścił się blondynek student. Kolega odprowadził go do wagonu, posadził, jak chorego, w kąciku ławki obok okna i usiłował go pocieszać, choć mu to nie szło i słowa więzły w gardle. Twarz blondyna drgała od czasu do czasu kurczowo i powieki zsuwały się na jego zamglone oczy.

— Antoś, bracie,—mówił tamten zobaczysz no... jak Boga kocham; — przekonasz się do wszystkich djabłów!..

Zadzwoniono po raz drugi i trzeci, pocieszyciel wybiegł z wagonu i, gdy pociąg ruszył, przesyłał towarzyszowi dziwne ukłony, jakby mu groził pięściami.

W wagonie mnóstwo było ludzi prostych, żydów, dam w salopach, szerokich jak zatocka Biskajska, — gadano, zdobywano miejsca kułakami, palono papierosy.

Student stanął przy oknie i patrzył, patrzył...

Ze spotałałą szybko przesuwwały się pasy iskier, jak rozpalone do czerwoności druty, kłęby pary i dymu, jak wielkie kłaki waty, które wiatr darł na strzępy i ciskał o ziemię. Dymy te wlokły się po małych krzaczkach rosnących tam w dole na zmoczonej deszczem ziemi. Zmierzch dnia jesiennego zalewał krajobraz półświatłem, pełnym jakiejś nieopisanej, posępnej melancholii.

Biedny, biedny chłopiec...

Patrzył wzrokiem zagastym, jakim patrzy pustka smutku bez granic, który zachodzi aż w dziedzinę mądrości. Wiedziałem, że w pustce tej jest jeden tylko rdzeń stały: — niepokój. Wiedziałem, że na ten rdzeń nawija się cieniutka niteczka nadziei, bardzo długa, wybiegająca z jakichś nieznanych krosien, ukrytych po za granicami świadomości. Nikogo nie widział, nic nie słyszał, śledząc bezmyślnie kłęby dymu. Wiedziałem, jak mu jest źle, jak wolno posuwa się dlań pociąg, jaki on zmęczony, jakby chętnie teraz płakał, gdyby mógł,—ale nie może. Niteczka nadziei łechce mu serce: kto wie?—może wyzdrowieje ojciec, może się wszystko ułoży...

I nagle—zgadłem!—krew uciekła z tej twarzy, wargi zbieleły i zatrzęsły się, szeroko rozwarte oczy z przerażeniem patrzyły daleko, daleko. W dalekiej przestrzeni, martwej dotąd i pustej—coś ożyło, jakby ręka z groźącym palcem wyciągała się ku niemu, jakby wiatr zawołał.—strzeż się!

Nitka nadziei pękła i naga, nadmiernie bolesna prawda, w którą nie wierzył do tej chwili przeszła mu serce, jak nagi miecz.

Gdybym się był wówczas do niego zbliżył i powiedział mu, że jestem duchem, który wszystko wie, że wiem dobre dla niego wieści, że ojciec jego nie umarł w tej chwili,—byłby mi upadł do nóg i uwierzył. Wyświadczyłbym mu łaskę niewysłowioną.

Lecz nie podszedłem do niego, nie uściśnięm mu ręki. Woląłem przyglądać mu się z pilną i nienasyconą ciekawością brata—człowieka.

S. Żeromski.

no dalej: „Antysemityzm w Europie zachodniej (gdzie mamy zaledwie ułamek 1/100 żydów) jest tylko reakcją kramarstwa i drobnej własności przeciwko kapitałowi, w najlepszym razie jest maskowaniem ogólnego wyzysku kapitalistów jakimś wyzyskiem poszczególnym—a wnet formułę tę zastosowali do nas, gdzie ilość domieszki zmieniła zupełnie jej *jakościowy* stosunek do całości, gdzie nękanie przez wielki kapitał średniowieczne kramarstwo znajduje się wyłącznie prawie w rękach żydów. Nasza, tak zwana, kwestya żydowska sądzona być musi z innego stanowiska, niż pozwala na to bądź katechizm taniej wolnomyślności, bądź płytki i nie rozumiejący własnych założeń kosmopolityzm, bądź wreszcie sentymentalne, a oszukujące siebie i innych uczucie patryjotyczne. Zkąd uroszczenie do takiego sądu całkiem innego? Po prostu ztąd, że my pod względem dziwactwa budowy naszego społecznego organizmu jesteśmy potworniejsi, nie napotykaną nietylko wśród ludów europejskich, ale, o ile wiem, na całym świecie.

W obronie tego, co prenumeratorem nasz nazwał *antysemityzmem Głosu*, można posługiwać się taktyką dwojaką, można stać na dwojakim stanowisku: bądź narodowościowym, bądź też ogólnoludzkim, kosmopolitycznym. Stanowisko pierwsze przez socjologów niektórych nie jest już dzisiaj uważane za słuszne. Wszelka obrona antysemityzmu z tego stanowiska byłaby tak łatwą, tak trafiającą do przekonania i o tyle godziwą, o ile oczywistym i godziwym jest prawo każdego ustroju do bronienia własnego życia, kosztem bodajby tysiąca istnień cudzych. Socjologija nie rozstrzygnęła zresztą: czy żądza zaspokojenia odnośnych potrzeb nie ma istotnie w sobie tyle mocy wewnętrznej, iżby przez czas jakiś nie prowadziła jeszcze ludzkości cywilizowanej po drogach, nie mających nic wspólnego z interesami, które w innej sferze i sposobem innym zadostyczyć znajdują. Nakoniec, nie zdołała jeszcze wykazać, czy, pomimo wszelkich dowodów apriorystycznych, rozwiązanie innych np. ekonomicznych trudności da się uskuteczyć tak prędko, aby wszystkie przyrodzone tej zmiany następstwa ujawnić się mogły w czasie pożądanym. W ogóle zagadnienie to jest o wiele bardziej zawile, niż się wydawać może umysłom, motającym wątek całych dziejów na bezduszny szkielet doktryny. Ale na stanowisku tem bronić się nie będą. To tylko tutaj zaznaczyć: jakkolwiekby daleko zaszyły tryumfy ogólnoludzkich ideałów i godeł kosmopolitycznych—w walce z żydami, dopóki sobą pozostaną, tylko i wyłącznie na stanowisku narodowościowym stać będzie można: ten naród międzynarodowy dzisiaj, pozabawiony ziemi wspólnej, nie mający faktycznie wspólnego języka, obyczajów i religii, a tem silniejszy, że, w braku wiązadeł zewnętrznych, cała potęga spistości jego skupiła się w wewnętrznym poczuciu jedności—naród ten, mówię, ostatni wśród zrzeszonej rodziny ludów, wyznaże imię swe, jako odrębnej jednostki etnicznej. Długie lata pokoju i braterstwa upłyną, długo milczeć będą musiały hasła nienawiści i prześladowania, zanim ostatni semita-francuz-bezwyznaniowiec przestanie troskać się więcej o losy wyznaniowych semitów-galicjan, niż o swoich „rodaków”, których mu narzuca bezmyślne doktrynerstwo. Jeszcze jedna uwaga: dopóki odmienna narodowość bywa, jeżeli nie przyczyną, to przynajmniej widocznym powodem walki, dopóki francuz musi wystrzegać się Niemca dla tego, że jeden jest francuzem, drugi zaś Niemcem, dopóty dla francuza ważną jest rzeczą aby ci, co się za jego ziomków podają, istotnie byli francuzami. W razie przeciwnym, w wypadku np. kiedy „ziomkostwo” tego kogoś jest pożyczane, kiedy istotne jego uczucia nie wiążą go oni z Francją ani z Niemcami, lecz tylko z plemieniem zamieszkałych we Francji, w Niemczech, w Afryce i w Australii semitów, zdarzyć się może, iż mniemany francuz, doszedłszy do wpływowego stanowiska w chwili dla francuzów krytycznej, uczyni coś na zgubę Francji, zaś na pociechę niemieckich, algierskich albo nowojorskich semitów. Przykłady takie zdarzały się istotnie—że przytoczymy tu, „humanitarny” postępek Cremieux’ego, który, dając równouprawnienie żydom algierskim i „niehumanitarnie” odmawiając go algierskim arabom, wywołał powstanie tychże w czasie, dla przybranej swojej ojezycznej jaknajmniej dogodnym. Postępek taki uprawniałby w zupełności fran-

cuzów do odebrania wszelkich stanowisk ludziom, których nie z powodu ich nieuczciwości cywilnej, ale dla politycznego szalbierstwa usuwać trzeba. Byłby to krok barbarzyński, ale nietylko przed ustaniem waśni międzynarodowych, lecz, wogóle, przed zniknięciem wszelkich wojen, jaknajzupełniej usprawiedliwiony—jeżeli, ma się rozumieć, potępiając wojnę, nie zechcemy dla usunięcia jej z oblicza ziemi—propagować zdrady. Przykład Cremieux’go wskazuje najlepiej, o co właściwie iść może obrońcom stanowisk narodowościowych w walce z żydami: żydzi tem się różnią od narodów innych i tem przypominają wszelkie ustroje słabe, że, w boju owym, zamiast broni jawnej, posługują się wyrobionym wśród prześladowań i niesprawiedliwości, wśród grynderstw i szwindłów handlowych orężem matactwa i hipokryzy politycznej. Nie o to idzie, aby żyd był koniecznie francuzem, Niemcem, lub hiszpanem, lecz aby będąc żydem—ani hiszpana, ani francuza, ani Niemca, ani *kosmopolity* nie udawał. Z pomiędzy naszej polinteligencji żydowskiej wszyscy bez wyjątku żydami są do szpiku kości; pośród inteligencji zdecydowanych żydów jest, co najmniej, połowa, lecz, o ile wiem, tylko jeden p. Nossig (z ludzi bardziej znanych) ma odwagę przyznać się do tego publicznie.

Ale opuśćmy już stanowisko narodowościowe. Jedno, czego byśmy wszyscy żądać powinni byli od żydów—jeżeli już w żaden sposób zupełnie pozbyć się ich nie można, oraz jeżeli niema środka uczynić z nich narodu podobnego z budowy swojej i terytoryjalnych stosunków do wszystkich narodów innych, nie można pobudzić do rozwijania w sobie wszystkich tych przymiotów i działań, jakie zastępują dzisiaj zdolnością pasorzytniczą—jedno, czego żądać należy—w imię jaknajbardziej ogólnoludzkich dążeń i zadań—to tylko tego, aby pozbyli się odporności swojej względem cywilizacji dzisiejszej. Niech formy jej zewnętrzne, niech jej narzędzia będą—japońskie, tatarskie lub hotentockie nawet, lecz niechaj treścią swą nie zabagnia kulturalnego łożyska tej cywilizacji z którą nieszczęście jakieś ją sprzęgło, niech poziomu jej nie obniża. Dla wszelkiej społeczności, z którąby fatalizm dziejowy, tak jak z nami, splątał—bo nie połączył przecie tych utrapieńców międzynarodowych—stokroć lepszym byłoby oddać im na zupełną, niepodzielną własność kawałek ziemi, bodaj dwa razy przewyższający liczebny stosunek ich ludności, byle tylko raz się skończyło to wstrętne duszenie się i tłumienie wzajemne dwóch istnień zbiorowych, dwóch kulturalnych typów. Nie symulacy polskości domagać się należy od ich przewodców, ale ujęcia ruchu cywilizacyjnego ich współbraci w dłonie silne, wyrwania ich z kleszczów kahalnych, oczyszczenia z przedśredniowiecznej stęchliny. Tak odrodzonych—mogą wprowadzić sobie do jakiego zechcą przybytku i w strojach barwy dowolnej—byle wprowadzili ich ludźmi. Nie inny tylko taki był pogląd *Głosu* na tę sprawę od samego początku jego istnienia (patrz Nr. 4 z 1886 r.). Niezwyczajna szkoldliwość żydów przedstawi się nam w zakresie tym szerszym, im wyżej wzniesiemy się ponad wszelkie waśnie plemienne i rasowe, ponad wszelkie nacyjonalistyczne przesady.

Potrzeba być zdemoralizowanym do szpiku kości przez doktrynę, aby tego nie widzieć. Oto dwa organizmy, z których w jednym zamiast własnego, tak lub inaczej funkcjonującego narządu tkwi narząd obcy; w drugim zaś wszystkie prawie organy zwały się w jeden niekształtny aglomerat pasorzytniczy, krępowany w rozwoju i nie mogący się rozwijać inaczej, jak tylko za cenę utraty własnej indywidualności, albo też za cenę pewnego rodzaju politycznego *mimicri* t. j. przybierania powierzchowności ustrojów innych. Nie idzie tu wcale o barwę skóry lub dźwięki języka, jako różnic rasowych, narodowościowych i t. p. nie idzie zgola o ich odmiennosc, lecz tylko i wyłącznie idzie o większą lub mniejszą przydatność ich, jako *narzędzi kultury*. Jest to przeklęta spuścizna przeszłości, z którą cywilizacja danej grupy ludzi nie umiała sobie dać rady, a która tłumi i wykoszlawia ją dzisiaj. Jeżeli doktrynerstwo nie może uwolnić się od frazesu, że lichwiarz-katolik wyzyskiwałby nie gorzej od żyda, to niechże zrozumie raz przecie, że nie o to tu idzie naszemu „antysemityzmowi”.

Gdyby lichwiarz katolicki wyzyskiwał trzykroć gorzej od żydowskich, nawet wówczas wo-

lelibyśmy ich dziesięć razy więcej, a to dla dwóch powodów: naprzód dla tego, że wyraźniejsze zarysowanie się stosunków ekonomicznych—bez domieszki rasowych, religijnych i innych uprzedzeń—pozwoliłoby ludziom jaśniej zrozumieć u nas sprawę kapitalizacji i wytrąciłoby broń z ręki tym, którzy napadając na wyzysk żydowski i myśląc, że źródło jego tkwi wyłącznie w talmudzie, palą kadzidło pochlebstw przed kapitałem katolickim. Potwóre wolelibyśmy lichwiarzy i handlarzy własnych dla tego, że tem samem znikłaby z posród nas dwumilijonowa gromada ludzi, których interesem jest bronić się wpływem wszelkiej wogóle kultury, co pozwoliłoby cywilizacji (nie mówię o kolorze jej włosów) rozwijać się daleko prędzej. Mówiono wiele o zasługach żydów dla nauki i sztuki. Zapomina się tylko przy tem, że w całej Europie zachodniej nie znajdzie się ani jednej takiej ciemnej i nie umiejącej prawie czytać figury krociowego chałciarza, jakich u nas spotyka się tysiące.

Kulturalne położenie naszych żydów jest również rozpaczliwe, zabójcze. Ich trwanie w granicach zawodów wyłącznie prawie nieprodukcyjnych, ich niemożność rozchodzenia się po wszystkich warstwach narodu drogą małżeństw mieszanych, ich konieczna, wobec przywiązania do kultury własnej, obawa wszelkiego światła—nic dobrego wróżyć nie pozwalają. Nie zamykanie oczu na te prawdy, nie przykrywanie ich obciętemi połami chałatów, ale wskazywanie i roztrząsanie jak najczęstsze może doprowadzić do wyników pomyślnych, jeżeli wogóle jakiekolwiek środki prywatne do wyników takich doprowadzić mogą.

J. K. Potocki.

## Optymistyczny pesymizm.

Paweł Lafargue. Praca umysłowa wobec maszyny. Warszawa 1891.

Treść leżącej przed nami broszury jest daleko bogatszą, niżby można sądzić ze skromnego tytułu. Właściwym zadaniem autora było widocznie przedstawienie w ogólnych zarysach charakterystyki obecnego ustroju przemysłowego, jego przeszłości i przyszłości. Broszurkę czyta się lekko i nie wymaga ona natężenia uwagi. Są to zalety, które zapewniły mogą pracy Lafargue’a powodzenie wśród naszej publiczności. Kwestyje społeczne zaczynają i u nas budzić zajęcie. Większość jednak t. zw. inteligencji ma o tem wszystkim pojęcie nader słabe, zainteresowanie się zaś jej przedmiotem nie zajdzie tak daleko, żeby skłonić mogło do poważniejszych studyjów. Broszurki w rodzaju obecnej, napisane żywo i na 73 stronach przedstawiające całokształt niemal poglądów pewnej szkoły, są obecnie bardzo na czasie. Jeżeli potrafią one choć cząstkę swych czytelników zainteresować i do dalszej w tej kwestyi lektury zachęcić, pożytek ich będzie niewątpliwy. Zyczyłoby jednak należało, aby prace podobne, jakkolwiek nie mogą być wyczerpującymi, dokładnie wszakże przedstawiały swój przedmiot, nie poświęcając prawdy dla efektu, lub ulubionych doktrynek. Pod tym względem, niestety, praca Lafargue’a, z kądną bardzo sympatyczną, daje powód do wielu zarzutów.

Dla braku miejsca, pominiemy zupełnie pierwszą część, poświęconą przeszłości ustroju przemysłowego, ograniczając się do uwagi, że nie odpowiada ona całkowicie wymaganiom popularności. Spotykamy w niej bowiem rzeczy, których *dokładne* zrozumienie wymaga takich wiadomości, jakich większość czytelników nie posiada. Zbyttna obrazowość stylu daje również powód do wielu nieścisłości, argumenty zaś niezawsze szczęśliwie są dobrane.

W części drugiej, autor barwnie przedstawił zmiany, jakie zaszły w losie pracowników pod wpływem wielkiego przemysłu maszynowego. Sprowadzenie samodzielnego wytwórcy do roli ogołoczonego z mienia nędzarza, sprzedającego jedyną swą własność—siłę roboczą; fatalne skutki rozdwojenia pracy na fizyczną i umysłową; wreszcie upadek rodziny i zaprzęgnięcie do pracy pozadomowej kobiet i dzieci—przedstawia autor na niewielu kartkach bardzo dobrze.

Właściwie powtarza on tu jednak tylko, co powiedzieli przed nim inni, bardziej natomiast oryginalnym jest w rozdziale poświęconym „najmitem” inteligentnemu. Kwestyja tak często poruszana ostatnimi czasy, kwestyja „hyperprodukcji inteligencji” przedstawiona została dość wyczerpująco. Niestety, stanowisko autora jest tu często niewyraźne, a nawet budzi niekiedy poważne wątpliwości. Niechęć autora do ustroju mieszczańskiego skłania go do bezwarunkowego potępienia tego wszystkiego, co się robi obecnie w sprawie wykształcenia publicznego. Przesadny sposób wysłowienia się dochodzi tu do rozmiarów niemożliwych. Na stronie 31 czytamy n. p. „Nauka stała się dobrem, dostępniejszym dla większej liczby osób, niż nawet powietrze, za które trzeba we Francji płacić podatkiem od drzwi i okien”. Absurd ten co do swej wiarygodności porównany być może z tem chyba zapewnieniem autora, że „w krajach, gdzie parlament istnieje, prawo głosowania przysługuje tylko tym, którzy posiadają dostateczną ilość tego umoralniającego dobra”, t. j. własności prywatnej (str. 20). Wyłącznie egoistyczne cele burżuazji—taniłość robotnika inteligentnego, widzi autor w dążeniu do bezpłatnego i obowiązkowego nauczania elementarnego, w uprzystępnianiu wykształcenia zawodowego i wyższego; też same pobudki wykrywa w braku dostatecznej opieki państwa nad wynalazkami i w ograniczeniu praw własności literackiej. Takiemu pojmowaniu rzeczy zarzucićby można, co najmniej, brak subtelności, nie mielibyśmy jednak pretensyi do autora, gdyby choć słówkiem napomknął o tem, że skutki tych egoistycznych pobudek są jednak w pewnej mierze przynajmniej korzystne dla ogółu.

Zupełnie analogiczne uwagi zrobić można z powodu tego, co autor mówi o wynagrodzeniu pracy umysłowej. Powiada on, że „proletaryjat inteligentny, dopóki nie był liczny, sprzedawał drogo swą siłę roboczą. Inteligentny najmita mógł sobie wówczas odżywiać dobrze, wygodnie mieszkać, ubierać się elegancko i utrzymywać w dostatku żonę i dzieci, które nie potrzebowały same na życie zarabiać. „Dobrobyt ten, konieczny dla utrzymania powagi” (21) umysłowego pracownika, wkrótce wydał się ekonomistom czemś zbytecznym, co należało niezwłocznie usunąć” (str. 35). W ostatnich czasach wytworzono tylu chemików, inżynierów, nauczycieli, agronomów, artystów i t. d., że inteligentny „najmita” nie długo przestać będzie musiał na zarobku fizycznego robotnika, jeżeli się to już nie stało. „W społeczeństwach dotychczasowych, nawet najdzikszych, powiada autor w innym miejscu, nauka i umysłowe zdolności podnosiły człowieka i zwiększały jego wartość. Dzisiaj nisko się ceni takich ludzi. Na kolejach żelaznych niektórzy robotnicy, zajęci pracą fizyczną, pobierają większą płacę niż telegrafici i inżynierzy. Położenie najmity inteligentnego coraz bardziej się zbliża do położenia wyrobnika fabrycznego, lubo wymagania życiowe pierwszego są znacznie wyższe niż u ostatniego”. (str. 46—7). Dalej, przytaczając zdanie Leroy-Beaulieu, że ci, którzy posiadli wiedzę, uważają się na zasadzie tradycyi za uprzywilejowanych, za wyższych, niż robotnicy fizyczni, autor powiada: „Wychować z wielkim kosztem pracowników umysłowych i brać ich do prostych robót fizycznych jest to postępowanie na wzór tego człowieka, który używałby swego zegarka do wbijania gwoździ w ścianę” (str. 46 przyp.) Wiele z przytoczonych ustępów brzmi nader dziwnie w ustach demokracji i byłyby stosowne tylko dla „arystokraty ducha”. Zapewne, życzyliby należało, żeby ujednostajnienie stopy życiowej osiągnięto nie przez obniżenie wynagrodzenia najemników inteligentnych, lecz przez podwyższenie zarobku robotników, nie wynika jednak z tego, żeby ludzie wykształceni uważać się mieli za jakieś misterne zegarki, nieprzydatne do wbijania gwoździ, lub żeby koniecznie otoczeni być mieli jakąś „powagą”. W cóżby się obróciły najszczytniejsze marzenia myślicieli, przewidujących, że w odległej przyszłości oświata wyższa stanie się dobrem, nie dostępniejszym wprawdzie niż powietrze, dostępnem jednakże istotnie dla wszystkich, że harmonijne połączenie pracy fizycznej i umysłowej stanie się udziałem całej ludzkości!

Na ogół Lafargue wcale dobrze scharakteryzował tendencje ustroju kapitalistycznego, który zarówno jest groźnym dla pracowników umysłowych, jak i fizycznych. „Wyłączna i nadmierna praca fizyczna, powiada on, przytębia zdolności umysłowe” i, dodajmy, zwyrodnia nieraz fizycznie. „Jednostronna zaś i nieprzerwana praca umysłowa ludzi inteligentnych doprowadziła do zaniku mięśni, obdarzyła niedokrwiistością i chorobami nerwowymi, spaczyła cały organizm i wytworzyła nędzne pokolenie, wydające na świat jeszcze nędzniejszych potomków”. Jak widzimy, samo istnienie rasy ludzkiej jest zagrożeniem. Przedewszystkiem więc pragniemy się dowiedzieć, czy niebezpieczeństwo zrozumianem zostało, czy przedsięwzięcie się jakieś środki zaradcze i o ile te ostatnie okazały się skutecznymi.

Z pracy Lafargue'a dowiadujemy się o tem wszystkim bardzo niewiele. Powiada on wprawdzie, że nawet ekonomiści zwrócili uwagę na nędzę ludu, jako na nieodłączną towarzyszkę cywilizacji, nie mówi on jednak nic prawie o usiłowniach praktycznych. A jednak niema stronictwa politycznego, któreby nie przedstawiało własnych swych planów polepszenia losu robotników. Rozmaite są cele i dążenia stronictw, jedne utrzymują, że drobne poprawki w zupełności zaradzą złemu, inne w zasadniczych tylko zmianach upatrują stanowcze rozwiązanie kwestyi. Każdy wszakże działacz polityczny, czy będzie to ks. Bismarck, czy Windhorst, czy Richter lub Bebel, pomimo różnicy w poglądach, proponuje coś takiego, co może usunąć część chociażby złego. Rzecz to bardzo naturalna. Przy najdalej nawet sięgających marzeniach ludzie czynu rozumieją, że postęp niemożliwym jest w społeczeństwie, składającym się z fizycznie i umysłowo zwyrodniałych ludzi, że wszelkie przeobrażenie potrzebuje wysiłku, do którego zdolnym jest tylko organizm żywotny. Tej tak prostej rzeczy nie rozumie jednak Lafargue. Niezliczone objawy tworzenia się wśród ustroju egoistycznego porządku lepszego, bardziej odpowiadającego zasadom miłości chrześcijańskiej, nie zwracają jego uwagi. Nie wspomina on ani słówkiem nawet o prawodawstwie fabrycznym, którem zajmuje się obecnie cały świat cywilizowany, na które zgadzają się w zasadzie wszystkie niemal stronictwa, spierając się tylko o szczegóły. A jednak udzielił on w swej broszurce dość dużo miejsca stowarzyszeniom wytwórczym, których dziś nikt prawie nie popiera.

Autor nie tylko utrzymuje, że w kapitalistycznym społeczeństwie „najmita” nie może się wyzwoić, ale też, że nie jest on w stanie utrzymać nawet płacy roboczej na wysokości odpowiadającej potrzebom, lecz, przeciwnie, musi je coraz bardziej ograniczać, stosując się do wciąż obniżającej się płacy. Na poparcie swego stanowczego twierdzenia przytacza autor rozmaite fakty i rozumowania, o których to tylko powiedzieć można, że pomieszano tu prawdę z fałszem. To, co np. pisze autor o angielskich trades-unionach, powstałych „od 1848 r.” (? 1824), nie wiele ma z prawdą wspólnego. Trades-uniony przechodzą różne koleje, stoją raz gorzej, drugi raz lepiej, fałszem jest jednak, aby „utraciły one siłę, aby kasy ich opróżniły się, a szeregi przeredziły”. Świadczą o tem najnowsze dane statystyczne, które moglibyśmy przytoczyć, gdyby nie brak miejsca, świadczy o tem zresztą wiele innych faktów, jak n. p. zużycie wystąpienie na międzynarodowym kongresie paryskim pewnego Niemca, który utrzymywał, iż trades-uniony nie rozumieją interesów robotniczych, ponieważ dzieje się im zbyt dobrze.

Lafargue pisał swą pracę przed paru laty widocznie, nie mógł więc wiedzieć, że właśnie w ostatnich czasach trades-uniony angielskie rozwijają się nader pomyślnie i to wśród najbardziej upośledzonej dotąd warstwy robotników niewykwalifikowanych (wyrobników), nie mógł wiedzieć o zmianach polityki związków wskutek powstania nowej tej siły i t. d. Wielka to szkoda, fakty z lat ostatnich mogłyby przekonać go także, że wcale nie zawsze kapitalista zmusić może robotników do poddania się „oznaczonym przez siebie warunkom”.

Są ludzie, którzy, widząc zapal swych współrodaków do środków, mogących przynieść bardzo nieznaczny tylko korzyść, poddają te środki niemilosiernej krytyce i obniżają ich wartość do zera. Lafargue nie znajduje się w takim poło-

zeniu: we Francji nie widzimy wcale przeceniania skuteczności środków, używanych przez robotników angielskich dla polepszenia swego losu. Są znowu ludzie, którzy przyszedli do przekonania, iż cywilizacja nasza zginąć musi, tak jak zginęły cywilizacje starożytne, pesymizm tych ludzi jest zrozumiały, nie widzą oni żadnej przyszłości przed sobą, nie widzą też w teraźniejszości nic, co by świadczyć mogło o zdolności naszej cywilizacji do dalszego rozwoju. Lafargue nie należy jednak do rzędu tych ludzi. Przyszłości poświęca on cały rozdział trzeci.

Z prawdziwym talentem opisuje on tworzenie się wielkich organizmów wytwórczych i usuwanie właścicieli kapitału (akcjonaryjuszów) od bezpośredniego udziału w produkcji. Okoliczności te mogą mieć istotne znaczenie dla przyszłego układu społecznego, jeżeli wogóle społeczeństwa zachodnio-europejskie przyszłości mieć mogą. Krańcowy pesymizm Lafargue'a w logicznej konsekwencji prowadzi do beznadziejności, bo skądżeby się wzięły raptem w zwyrodniającem się coraz bardziej i nie umiejącem polepszyć swego losu społeczeństwie jakieś cudowne siły żywotne. Konsekwencja nie należy jednak do wad, czy też przymiotów Lafargue'a. Obdarzona mistycznymi właściwościami maszyna dokonywa wszystkiego. Gnębiła ona i gnębi dotąd robotników, ale pewnego pięknego poranku zacznie ich wyzalać. Wówczas, jak w bajce z 1001 nocy wszystko się zmieni odrazu.

Narzędzia pracy staną się własnością społeczną, dzień roboczy trwać będzie najwyżej 3—4 godzin, resztę czasu poświęcać będą robotnicy na rozwój umysłowy. Ponieważ wszelka praca wykonywać się będzie za pomocą maszyn, więc zmiana zawodu, przechodzenie od jednej roboty do drugiej—stanie się dla każdego możliwym. „Stowarzyszenie robotnicze, być może, powiada autor, po 2—3 miesiącach służy przy kolei *przyjmie kilku agronomów* i zajmie się rolnictwem, *poźniej zaś tkactwem, lub górnictwem*” (str. 72). Co więcej, stowarzyszenia te przerzucac się będą co parę miesięcy z Niemiec do Francji, a zaś na lato i wiosnę przeniosą się dla produkcji zboża *do zatoki* (tak!) *Hudsonskiej*. To koczowanie robotników w przyszłości przytacza Lafargue, jak się zdaje, tylko jako ilustrację potęgi człowieka nad przyrodą i możliwości, dzięki maszynom, przerzucania się z jednego zawodu do drugiego. Jest to w każdym razie szczegół, o którego prawdopodobieństwie nie mamy żadnych danych do sądenia. Dla czego tak się on podobał pewnemu dziennikarzowi warszawskiemu, że nawet cały ustrój przyszły nazywa „epoką kulturowego (?) koczownictwa”, nie wiem. Sądzę, że w przewidywaniach przyszłości znaleźć można rzeczy daleko piękniejsze. Przechodzenie od maszyny tkackiej, do rolniczej, z pod rozkazów inżyniera pod rozkazy agronoma, chociażby nawet z Niemiec do „zatoki Hudsonskiej”—nie ma w sobie nic tak bardzo uroczego. Dziś nawet spotkać możemy przykłady daleko donioślejszej zmiany zawodów, daleko większej różności zajęć, że przypomnimy chociażby przytaczanego przez autora Lincolna, który był kolejno drwalem, majtkiem, subjektem handlowym, adwokatem i prezydentem Stanów Zjednoczonych i to bez pomocy żadnych maszyn.

J. Książyc.

## Matematyka jako przodowniczka nowej epoki.

### II.

W rządzie nauk przyrodniczych jedno z pierwszych miejsc należy się tej, która—jakkolwiek w odróżnieniu od innych—nie posługuje się bezpośrednimi spostrzeżeniami zmysłowymi, lecz właściwą sobie sprawą, czysto duchową, wnika niemniej z całą sumiennością i dokładnością w głąb zjawisk i przedmiotów, wnika i działalność swoją rozwija skutecznie nawet tam, gdzie funkcje zmysłów ustają. Wiedzą tą jest matematyka. Wykryte przez nią prawa pewniej i dokładniej tłumaczą nam naturę oraz istotę rzeczy, niżeli najlepsze spostrzeżenia; ona też zapuszcza swe korzenie zarówno w dziedzinę ducha, jak i zjawisk zewnętrznych i już na tej podstawie

posłużyć może za dowód, iż istnieje coś obu światom wspólnego, coś, co na budowę i przebieg zjawiska, zarówno jak na rozwój myśli, wywiera wpływ stanowczy. Odkąd matematyką uzupełniać poczęto niedostateczność zmysłów, ustaliło się przekonanie, że niema we wszechświecie właściwego stanu spoczynku, lecz że wszystko w ciągłym pozostaje ruchu, na podstawie zaś badań światła wykryto, że roznościami tego ruchu w najpotężniejszych i najgwałtowniejszych, jak i w najsubtelniejszych, najbardziej delikatnych zjawiskach w przyrodzie jest tak zwany eter. Wszelkie działania ciepła i elektryczności, wszystkie procesy chemiczne, a tem samem też wszelkie objawy zwierzęcego i roślinnego bytu związane są jak najściślej z drganiami eteru.

Każdy objaw żywotny spowodowany jest czynnością mechaniczną lub też chemiczną odpowiedniego organu, sprawa myślenia jest co najmniej współobjawem czynności organów myślenia; więc też i one, podobnie jak wszystkie inne organy, podlegają wpływom drgającego eteru i nawzajem zdolne są wywoływać dalsze jego drgania. Badania przyrody organów dowodzą, że są one po większej części tylko rorszerzonymi nerwami; i tak np. siatkówka oka nie jest niczem innym, jak tylko rozszerzonym w pewien sposób nerwem wzroku; nerwy zatem również przystępne są działaniu eteru. Wszystkie nerwy jednakową wykazują budowę, co więc o pojedynczych nerwach i wiązках nerwowych powiedziano, to w należytej mierze stosuje się do całego układu nerwowego, do mlecza pacierzowego i do mózgu. Mlecz pacierzowy i mózg—to narządy woli i myślenia, myślenie zatem i wola ludzka, podobnie jak wszystkie inne objawy żywotne, zawisłe są w jakimś stopniu od drgań eteru. To samo prawo matematyczne reguluje przebieg światła i naszą o nim świadomość, ten sameter przepływa światłami, przenika wszystkie ciała, a zatem i nasze organy myślenia i wywiera wpływ stanowczy na każde zdarzenie w przyrodzie, jak i na każdą czynność umysłową. Zjawisko i poznanie pokrywają się zupełnie, ponieważ oba, wedle tych samych prawideł, podlegają drganiom tegoż eteru. Jeżeli cały przebieg odbywa się normalnie, jeżeli w drodze od zjawiska do powziętej o nim świadomości nie fałszywego lub wrogiego nie stanie na zawadzie, wówczas zjawisko zewnętrzne, ze wszystkimi właściwymi sobie cechami, wiernie odbije się w umyśle ludzkim. Tym sposobem twierdzi autor, prawo matematyczne zwycięzko odpiera niemile i wprost przygnębiające twierdzenie o niemożliwości poznania świata zewnętrznego.<sup>1)</sup>

Że organy ludzkie pod wpływem drgań eteru nie tylko same w ruch zostają wprowadzone, lecz nadto posiadają zdolność wywoływania dalszych drgań eteru, tego dowodzi fakt, iż wrażenie nie znika z chwilą, gdy o odnośny organ przestają uderzać fale drgającego eteru; najczulszej organy same przedłużają trwanie wrażenia, nadając mu niejako pewną siłę żywotną. Czemże jest ta siła żywotna w organach uspiona, a udzielająca się spostrzeżeniom zmysłowym i umysłowym? Jestto znów tylko ruch, wywołujący dalsze drgania eteru. Krew, obficie wnika do mózgu, jest niewyczerpanem źródłem czynności chemicznych, a tem samem drgań eteru, utrzymujących w ciągłym ruchu tkanki mózgowe; ten właśnie ruch ciągły tkanek jest, jak sądzi autor, podstawą świadomości, która ustaje dopiero z ostatniem tętaniem żywotnem osobnika organicznego. Ruch, który bezpośrednio wywołuje ruch drugi, to siła.

Każda myśl, każde spostrzeżenie spowodowane jest siłą. Jeżeli wszystko, co istnieje i co powstaje, objęte jest w umyśle naszym pojęciem czasu i przestrzeni, to niemniej też wszystko objęte jest pojęciem siły. Do dwóch Kantowskich form poglądu: czasu i przestrzeni, przyłącza się więc jeszcze trzecia forma poglądu, siła.

Drgania eteru, wnika do organów, otrzynują od nich wzamian tak wielką sumę siły żywotnej, czyli drgań dalszych, że nabierają pewnej samoistności. Wrażenia ciepła, światła, dźwięku, kolorów, z taką samodzielnością występują wobec ducha ludzkiego, któremu istnienie swe zawdzięczają, że człowiek bez namysłu umieszcza je w świecie zewnętrznym. Powiadamy więc, iż światło blask swój rozsiewa dokoła, iż ptaki śpiewem swym napełniają powietrze. A jednak, falowanie eteru, rozchodzące się od rozżarzonego do białości ciała, wtedy dopiero staje się blaskiem, kiedy natrafia na oko żyjącego stworzenia; ciała same przez się nie mają też barw żadnych, barwa jest bowiem uświadomionem zjawiskiem, które powstaje ze współdziałania zewnętrznego i wewnętrznego żywiołu; zimno i ciepło nie istnieje w przestworzu, są tylko silniejsze lub słabsze, dalsze lub bliższe kręgi falowe, które wtedy dopiero stają się ciepłem lub zimnem, gdy wejdą w styczność z istotą żyjącą i organami, służącymi do wywołania tego wrażenia. Że świat, jako taki, ciemny jest i ponury, o tem ślepy pouczyć nas może; że ziemię głębokie pokrywa milczenie, to głuchy wie najlepiej.

Zrzekamy się tak zupełnie wszelkiego udziału, jaki się nam przy powstaniu światła należy, że o słońcu mówimy, iż zdobi je korona świetlna, że ona światło swe wylewa na wszystko, co pod nią się znajduje. Lecz słońce fale tylko za falą na świat wylewa, a te strumienie jałowe stają się światłem dopiero za pomocą oka i jaśniejącej po za niem świadomości: My sami więc słońce koroną świetlną zdobimy. To samo stosuje się do kolorów. Świeża zieloność, od hał i łąk bijąca, jest tylko tą częścią odbitego światła słonecznego, która 5—600 bilionów drgań odbywa na sekundę. Niebo wieczorne, samo przez się, bezbarwne jest i czarne, przenika je tylko ta część światła słonecznego, która drga na sekundę około 400 bilionów razy. Że zaśowe łąki wesołą uśmiechają się zielenią, a niebo wieczorne wspaniałym czerwonym jaśnieje blaskiem, to zawdzięczamy jedynie własnemu oku i własnej świadomości; pod ich to wpływem strumienie fal, rozchodzące się od owych ciał, stają się barwą zieloną i czerwoną. Istota żyjąca, przedewszystkiem zaś człowiek, nadaje dopiero światu jego postać właściwą. My to zaludniamy świat istotami i siłami, my to wysyłamy doń dzieci własnego ducha, cieszymy się nimi, lub lękamy ich się, stosownie do ich natury. Ważne to i w następstwa brzemiennie twierdzenie, że świat, aby w skończonej swej ujawnić się mógł postaci, naszej potrzebuje pomocy. Dopóki nie było istot żyjących, ciemności i milczenie zalegały świat cały. W każdej coraz to doskonalszej formie bytu, którą przyroda stopniowo od rośliny do człowieka przebywała, odkrywał i urzeczywistniał się nowy, uspiony w niej dotąd rys znamienity; z człowiekiem dopiero, w skończonych formach piękna i prawdy, przyroda na najwyższym stanęła szczycie. Czy istotnie na najwyższym? Któż to rozstrzygnąć zdoła? Zdałaby się prawie mogło, że węgiel, tlen, azot i inne składowe części organów ludzkich, zbyt tegie, gęste i o cięższe są w swej masie, iżby mogły w pełni oddać i wydźwignąć całą subtelność i delikatność, całą głębokość i rozległość drgań eteru, tymczasem tak nie jest. I oto zlekka budzi się nadzieja i cichym szeptem przekonać nas pragnie, że organa ludzkie do dalszego jeszcze zdolne są udoskonalenia, że kiedyś, gdy w dalszym stadium rozwoju wnętrza i skorupy ziemskiej, gwałtownie dziś wzburzone żywioły ustatkują się i ułożą w porządku, świat zaludniać i ożywiać będą istoty delikatniejsze i wrażliwsze od nas.

Felicja Próchnikowa.

## Z dziedziny wychowawczej.

(M. Hejlpertn.—Tajemnice przyrody. Wiadomości ogólne o świecie; kurs, zawierający wskazówki do systematycznego wykładu nauk przyrodniczych.

P. Bert.—Pierwszy rok kształcenia naukowego; nauki przyrodnicze.—Książka dla młodzieży—Przekład J. J. Boguskiego i A. Dygasińskiego.

### I.

Był czas, gdy zajmowanie się naukami przyrodniczymi stanowiło uznane dziwactwo lub luxus. Przyrodnik — szczególnie botanik lub zoolog—był to jednoznacznie nieszkodliwego maniaka, który w tabaczkowym surducie, z kraciastą chustką do nosa, z nieodstępną lupą lub młotkiem, laził po polach, łąkach i lasach, wdrapywał się na skały i góry, zbierając jakieś tam ziółka, muszki lub kamyczki. W takiej postaci pojęcie to przeszło nawet do literatury dziecięcej w osobie Paganelów, Muchołapskich itp. śmiesznych dziwaków. Na szczęście pojęcie to, wraz z typami, które dały mu początek, należy już prawie zupełnie do przeszłości. Nauki przyrodnicze—ta niewyczerpana skarbnica potęgi człowieka w jego walce z przyrodą—w krótkim stosunkowo przeciągu lat zostały w teorii w zupełności równoprawnione z naukami humanitaro-społecznymi, w praktyce zaś wychowawczej torują sobie coraz natarczywiej drogę do szkół i wychowania domowego. We Francji, Szwajcaryi zwycięstwo ich jest stanowczem; w innych krajach jesteśmy dziś jeszcze świadkami walki, która oby jak najprędzej skończyła się tryumfem przyrodoznawstwa.

Przyznać należy, że względnie do ubogich środków naszych i sił, skrzepowanych różnymi warunkami, i my jako tako podążamy za tym ruchem. Wprawdzie ludzi choćby z ogólnie przyrodniczym wykształceniem jest u nas w społeczeństwie jeszcze bardzo mało; wprawdzie brak nam zupełnie dobrych podręczników i popularyzacji przyrodniczo-naukowych; wprawdzie pisma i książki poważne przyrodnicze skazane są dotąd na spalanie lub zjadanie przez szczury—ale widzimy niejaki objawy, dające nadzieję, że ten stan smutny zaczyna się kończyć. Wyrazem tego jest choćby szerokie rozpowszechnienie w kształceniu domowym dzieci t. z. nauki o rzeczach; znaczny stosunkowo rozwój literatury dla dzieci i młodzieży, czerpiącej tematy z przyrody; względnie szybkie wyczerpywanie się podobnych dziełek. Dalej, prócz szkół czysto filologicznego typu, do wszystkich innych wprowadzono siaki takie okrucy wykładów z nauk przyrodniczych. Co zaś najważniejsza, w wychowaniu domowym dzieci ludzi inteligentnych nie spotyka się prawie programu, któryby nie wymagał zapoznawania dziecka z otaczającą przyrodą.

Zjawianie się w takiej właśnie dobie dobrych książek, czy to metodycznych dla uczącego, czy też podręczników dla samych dzieci,—książek, ułatwiających dziecku zdobywanie zasadniczych wiadomości o przyrodzie, jest—mówiąc szczerze—dobrodziejstwem społecznem. Z tego punktu widzenia postaramy się rozpatrzyć dwa świeżo wydane w tym zakresie dziełka: *Wiadomości ogólne o świecie*—p. M. Hejlpertn i *Pierwszy rok kształcenia naukowego*—P. Berta, w tłumaczeniu pp. Boguskiego i Dygasińskiego.

P. Hejlpertn tak określa w przedmowie cel swojej książki: „Jest to podręcznik dla uczących, którym dostarcza materiału i daje wskazówki prowadzenia nauki. Uczyć mogą według tej książeczki rodzice, nauczyciele i nauczycielki, nawet nie zajmujący się specjalnie naukami przyrodniczymi; mogą przytem prowadzić wykład praktycznie, bez pomocy przyrządów, lub drogich materiałów. Wykład przeznaczony jest dla dzieci w wieku lat 11—13. W uczniach i uczennicach, przy średnich zdolnościach, przypuszcza się tylko ogólne przygotowanie wstępne, jakie zwykle dzieci otrzymują z nauki o rzeczach, z czytania odnośnych ustępów w wypisach lub innych dziełkach, a także z początkowej nauki geografii.”

Wykład składa się z 60 rozdziałów, co, licząc po 2 godziny tygodniowo, przy zwykłym

<sup>1)</sup> Według najnowszej hipotezy jednego z przyrodników niemieckich: pomiędzy cząsteczkami eteru i materią ciała znajduje się substancja ogniowa (Feuerstoff) która pod naciskiem eteru, działającego podobnie jak ciężar atmosfery, skondensowała się w płyn ogniowy przenikający i zapełniający najgłębsze i najważniejsze kanały międzycząstkowe. Ta substancja ogniowa posiada prężność nadzwyczajną i na tej to prężności polegają wszystkie t. zw. siły utajone. Materija ogniowa, przewyższywszy prężnością swą ciężar eteru, wypływa z kanałów molekularnych i ulatnia się. U ciał posiadających własne światło, a zatem i u naszego słońca, wydawanie światła—wedle hipotezy tej—nie polega na drganiach eteru, ale na prężności materji ogniowej, wypływającej z przestworów międzycząstkowych. (L. Mann. der Feuerstoff, Berlin 1890).

u nas roku szkolnym, wystarczyć powinno na jeden rok.

Treść książki jest tak bogatą, że z trudnością przyjdzie nam zdać z niej sprawę. Celem wykładów ma być poznanie najważniejszych ciał, składających ziemię, a nawet świat cały, poznanie ich własności i najciekawszych zjawisk. Zaczyna się więc nauka od zapoznania z ciałem w ogóle i główniejszymi własnościami ciał: barwą, odłamem, połyskiem, przezroczystością; zajmuje to 5 pierwszych lekcji. Kilka następnych poświęcono poznaniu najpospolitszych postaci prawidłowych ciał; dalsze—inym własnościom, jak: ciężar, kruchość, rozpuszczalność, topliwość i t. d.

Każdy wykład prowadzony jest metodą indukcyjną, wychodząc od faktów i praw najbliższych i szczegółowszych, które uczeń za pomocą odpowiednio stawianych pytań przypomina sobie lub poznaje, rozszerzając je dalej i uogólniając. W każdym prawie wykładzie nauczyciel posiłkuje się demonstrowaniem ciał przeważnie podręcznych z ich wybitnymi własnościami; często robi sam łatwe doświadczenia; gdzie zaś te są niemożliwe do wykonania lub niewystarczające, wskazany jest w książce jako wzór szematyczny rysunek. Pod koniec lekcji uczący szeregiem pytań powtarza nowy wykład i najważniejsze punkty z dawniejszych, wreszcie dyktuje kilka zasadniczych pytań lub daje temat do piśmiennego wypracowania na następną lekcję. Tu i owdzie zadaje uczniom do domu łatwiejsze doświadczenia, które im robić mapki i notatki krajoznawcze.

W taki mniej więcej sposób przechodzi dalej do poznawania wewnętrznej budowy ciał na przykładzie brukowca i kredy; mówi o węglu kamiennym i jego powstaniu i o kopalniach węgla, soli kuchennej, kredy. Następnie dochodzi do zjawisk i własności chemicznych: składu i rozkładu kredy, piasku (szkła), gliny. Przy sposobności zapoznaje uczniów z technicznymi zastosowaniami i przeróbką piasku, gliny, żelaza.

Zbierając dalej poznane własności, p. Hejlpertn wskazuje, jak podać dziecku początki klasyfikacji ciał przyrodzonych, a następnie klasyfikacji minerałów, roślin i zwierząt.

Potem rozpatruje z uczniem ziemię, jako całość, przypomina jej ruchy, analizuje ją bliżej, dając poznać własności i pracę wody i powietrza, przekształcającą powierzchnię ziemi; kilka ostatnich rozdziałów poświęca ciałom niebieskim i ich powstaniu. Kończy, dając pojęcie o tem, co to jest materyja, ciało w stosunku do materyi, zjawisko, siła; mówi o sposobach poznawania przyrody, ważności samodzielnego kształcenia się i społecznym celu zdobywania wiedzy.

Nie wczytawszy się pilnie w tępiękną książkę, trudno może z powyższego urobić sobie przekonanie, do jakiego stopnia wykład powyższy wstępu do nauk przyrodniczych stanowi logiczną i zakończoną całość, przeprowadzoną z drobiazgową systematycznością i ścisłością. Przytem, jestto — jak mówi autor w przedmowie — owoc doświadczenia. I widać to na każdym kroku: z każdego niemal zapytania przegląda człowiek, który przy gruntownej znajomości z jednej strony nauk przyrodniczych, z drugiej—zasad racjonalnego kształcenia, obcował z dziećmi sam, zna ich umysłowość doskonale, wie, jakim dobozem i stopniowaniem pojęć umysł ten można rozwijać, można wdrożyć go do rozumnego przyrodniczego badania i myślenia.

Nie powiem, żebym, przy całym uznaniu dla metody wykładu p. Hejlpertna, pisał się bezwzględnie na wszystkie szczegóły—jest kilka takich, na które wielu przyrodników i pedagogów mieć będą pogląd odmienny od autora „Tajemnic przyrody”: jestem jednak tego zdania, że książka ta zająć powinna wybitne miejsce w naszej literaturze wychowawczej. Znam kilka odnośnych dziełek zagranicznych i sędzę, że książka p. Hejlpertna swą metodyczną wykonanością stanowczo dorównywa najlepszym z pośród nich. Treściwość, jasność wykładu, sumiennosc i dokładność w najmniejszych drobiazgach—zynia ją podobną do wielu książek pedagogicznych angielskich. Pomimo wszakże zupełnego uznania dla wysoce wartościowej pracy p. Hejlpertna, nietyle z obowiązku sprawozdawcy, ile z obawy, że „niedość przygotowania i mało doświadczeni” wychowaw-

cy mogą zbyt pochopnie stosować jego wykład, zmuszony jestem do uczynienia paru zastrzeżeń.

Książka przeznaczoną jest, jak wiemy, dla dzieci 11—13 letnich. Otóż dla takich nawet dzieci niektóre rozdziały są stanowczo za trudne. Do tych należą przedewszystkiem wykład drugi i trzeci—o barwach uzupełniających. Są to rozdziały bardzo ładne i doskonale wyłożone, ale właściwie w kursie fizyki, przy pomocy jeszcze kilku doświadczeń i dokładniejszych objaśnień. Tutaj zaś, w tym elementarnym wstępie, są bezwarunkowo zanadto naukowe i niepotrzebne, tymbardziej jeszcze, że nie mogą one dać uczniowi pojęcia o tem, dlaczego różne ciała, oświetlone światłem białym, są różnobarwnymi. Sędzę, że poznanie głównych barw i ich najpospolitszych odcieni, jako najwybitniejszych własności ciał, byłoby zupełnie na początek wystarczającym. Mówię to tymbardziej, że jak słyszałem, ktoś tam ośmioletniemu dziecku wykladał te rozdziały podług książki p. Hejlpertna, ciesząc się, że dziecko zupełnie je rozumiało! Pozwalam sobie stanowczo o tem wątpić.

Takich wykładów trudnych jest jeszcze parę: o zjawiskach chemicznych, cały rozdział XXXIV o paleniu, gniciu, oddychaniu i karmieniu się roślin.

Po zatem sędzę, że niestosownem jest w kursie z dziećmi podawanie takich głębokich prawd i hipotez, jak niezniszczalność materyi, rozwój układu słonecznego, historia stygnięcia ziemi i zmiany jej powierzchni. Wszystko to są rzeczy bardzo piękne, ale przecież nie chodzi o to, żeby dzieciaki, nie mające dostatecznego pojęcia o licznych faktach odnośnych, chwytaly formułki pięknych uogólnień, mniemając, że je rozumieją. Jestto częsty błąd obecnej pedagogii, że dzieciom przedwcześnie podaje się głębokie prawdy przyrodnicze, które przechodzą dla nich bez znaczenia, gdy tymczasem spotkane po raz pierwszy w wieku nieco późniejszym, posiadałyby cały urok świeżo zdobytej i istotnie zrozumianej prawdy.

Ostatni zarzut, jaki pozwolę sobie postawić, dotyczy tej części dziełka p. Hejlpertna, która traktuje o ciałach żywych: zwierzętach i roślinach. Ze jest ona niewymierną z całością, to tłumaczy się zastrzeżeniem, jakie autor robi w przedmowie. Ale czemu jest ona traktowaną gorzej, niż pozostała? Dlaczego autor ograniczył się prawie zupełnie na suchej i zupełnie zbytecznej klasyfikacji zwierząt i roślin? Dlaczego zamiast niej nie rozebrał raczej postaci, własności i stosunków życiowych paru zwierząt i paru roślin, z których uczeń urobiłby sobie jasne, choć elementarne, pojęcie o tem, co to są za ciała przyrodzone te zwierzęta i rośliny?

Zresztą wogóle nie możemy zgodzić się na pogląd p. H., wyrażony we wstępie, jakoby błędem był rozpowszechniony u nas sposób rozpoczynania nauk przyrodniczych od zoologii i botaniki z uczniami, nieobznajmionymi z zasadami nauk podstawowych. Autor myśli i mówi o racjonalnym wykładzie tych nauk. Jaki to mianowicie jest wykład? Jeśli w racjonalnym wykładzie ma się mieścić konieczne szczegółowy rozbiór fizjologicznych zjawisk życia rośliny i zwierzęcia, to p. H. ma słusznosc: taki wykład powinien następować po zapoznaniu się z fizyką, chemią, mineralogią. Ależ nauka zoologii i botaniki dla dzieci 9—12 letnich bynajmniej nie obowiązuje do fizjologii. Przeciwnie: istnieje cała dziedzina morfologii grubej, zewnętrznej i jej stosunku do warunków życia istoty żywej; dalej, cała olbrzymia sfera wzajemnych stosunków tych istot do siebie i człowieka, która jest niezmiernie ważną i niezmiernie dla dzieci zajmującą. Te dziedziny należy właśnie wyciskać w tym pierwszym, elementarnym wykładzie bo potem nie będzie na to czasu—i wreszcie przy wyższym ucznia rozwoju, czasu tego będzie na to szkoda.

Kto widział dziatwę, zbierającą na wycieczce żuki i motyle, łapiącą ryby i ślimaki, wychowującą z zapafem trytony i kijanki żabie, zwiędzającą z zaiskrzonemi oczyma gabinety i zwierzyńce: ten nie powie, że nauki biologiczne mniej zajmują dzieci i mniej są rozwijającymi, niż oglądanie gliny i brukowca, oblewanie kredy octem lub próbowanie scyzorykiem twardości feldszpatu.

Wracając raz jeszcze do wychowawczego znaczenia książki p. Hejlpertna, dodam, że nie-

zależnie od wartości jej, jako metodyki wykładu początkowego nauk przyrodniczych, dzięki temu, że już od X rozdziału autor pomija znaczną część pytań, w zamian podsuwając gotowe odpowiedzi w formie opowiadania: książka jego staje się poniekąd dostępną nawet dla samouka, pragnącego nabrać elementarnego lecz zarazem naukowego pojęcia o przyrodzie.

M. Brzeziński.

## Z niwy literackiej swojej i obcej.

Dzięki szczególnie serdeczne składam komu należy za przysłanie mi „Lalki”. Powieść tą czytałem wrywkami w odcinku dziennika; że zaś w czasie, kiedy ona wychodziła, wypadło mi w Paryżu na wystawie przebywać, czytanie onej przerwać musiałem i, ku wielkiemu memu żartwieniu, rozstałem się był z nadzieją dokończenia takowego kiedykolwiek — chyba na dolinie Jozafata, jeżeli tam czytelnie istnieją. To też wynurzanie się jej tytułu z pod opaski pocztowej powitałem z wielkim uradowaniem—z uradowaniem człowieka, żadnego rozkoszy estetycznych w zakresie literackim. Prus rozkoszy tego rodzaju dostarcza w gatunku jaknajlepszym. Utwory jego wolę od najbardziej rozgłoszonych zagranicznych a wolę dla tego, że podczas, kiedy w tych ostatnich podziwia się zręczność, na jego widnieją cechy genialności. Tak—genialności. Wyrazu tego nie cofam—myślałem nad nim długo. Przypomiot ten zaprzeczyc się nieda autorowi „Lalki”, luboć—i to zaprzeczyc się nieda—charakteryzuje takowy pewna dziwaczność. Genialność dziwaczna. Wytłumaczę to obrazowo. Wyobraźmy sobie człowieka, co, zamknięty w izbie, chciałby z niej wyjść oknem; można wreszcie, w ostateczności, wyleźć kominem. Do sposobów tych uciekają się ludzie zwyczajni, do jednych w praktyce obserwej, do innych (przez komin np.) w bajkach. Człowiek ów atoli, obdarzony nadzwyczajnie bystrym umysłem, z uwagi na to, że wychodzących drzwiami i oknem spotykają bądź przykrości, bądź wypadki rozliczne, wyłączenie zaś kominem dokonać się nie może bez uczernienia się sadzą, rozmyśla nad sposobem innym. Uwagę jego zwraca na siebie dziurka od klucza, zwraca oraz szpara w podłodze. Wszak to także otwory. Są one przyciasne i nieco wązkie—to prawda; ale, gdyby się nie myślało o gmachach, pomnikach i t. p., lecz o przystosowaniu się za pomocą odpowiedniego gimnastykowania się i odżywiania do dziurki czy szpary, to by przez nie na pewno przejść można. Zda się, że pomysł podobny nie nazywają się inaczej, jak dziwactwem. Tego to rodzaju dziwactwo owiewa—zdaniem mojem—genialność Prusa. W „Lalce” całą akcję powieściową prowadzący i takową akcentujący personal—Wokulski, Rzecki, Szuman, Szlangbaum, Ochocki, Geist, Suzin i inni—pracuje gorliwie i genialnie nad utworzeniem, nie wiadomo, przez dziurkę, czy przez szparę, przejścia, bez rozszerzenia otworu. Genialnie ta gromadka pracuje, mimo to, rezultatu nie osiąga i czytelnikom w końcu się zdaje, że to właśnie ze strony autora *demonstrandum erat*. Powieści samej nie analizuje—analizowano ją dostatecznie: uogólniam wrażenie, jakie na mnie wywarła i dodaje, że estetyczna rozkosz, jaką mi sprawiła, w porównaniu isć nie może z rozkoszą, wydzielającą się z najprzedniejszych utworów Bourget'ów, Daudet'ów, i wszystkich innych głośnych, znanych mi powieściopisarzy zagranicznych. Kto chce rozkoszy estetycznej doznać a zarazem przekonać się, że ani przez dziurkę od klucza, ani przez szparę w podłodze przejść nie sposób, niech się w „Lalce” rozczytuje. Taką jest, co do niej, moja rada.

Radziłbym oraz amatorom obrazów powieściowych nie odsuwać na stronę powieści p. t. „W okowach”, napisanej przez Wilhelma Feldmana. O autorze tym już wzmiankowałem na tem miejscu. Należy on do pokolenia młodego i dał się już poznać utworami, do których treść czerpał po większej części ze świata żydowskiego. Treść do ostatniego zacerpnął ze średnio-zamożnej galicyjskiej sfery szlacheckiej. Da się ona (treść) opowiedzieć, jak następuje. Bardzo piękna i nie bardzo uboga pa-

ni Jadwiga, która—co jest w porządku—panienką będąc, kochała się w korepetytorze swoim, skojarzona węzłem małżeńskim z p. Kazimierzem Zimowickim, powiła, po czterech latach pożycia, córeczkę, siostrzyczkę braciszka, co na dwa lata przed tam na świat przyszedł. Na chrzciny dziewczynki zebrało się zaproszonych moc i, kiedy oni w najlepsze bankietowali i zdrowia szampanem spijali, nagle i niespodzianie pojawił się gość nieproszony. Ukazała się przy stole niejaka Maryśka z małutkiem dzieckiem na rękę. Przyniosła do Zimowieckiego, rzuciła gwałtownie na stół dziecko i wskazując na nie głośnym, urywanym tonem zawołała:

—„Ano, ot i macie go, *jelmożny* panie! Cemu i jego *krzcić* nie dajecie? ha? Dla czegoż i jemu butów nie sprawiacie? Toż i to *synok* wasz! *Weznij* go, *weznij* sobi, ty *rozpuśniku*, *zdrajco*, *ladaszczol*!”

W sposób ten wyraziło się założenie powieściowe i z założenia tego rozsnuła się akcja, która by się podciągnąć ze słusnością dała pod tytuł: „Serce kobiece”. Co to za różnica pomiędzy sercem pani Jadwigi, a sercem tej wielkiej damy delikatnej, zachwycającej, upadającej, oszukującej, rozumnej, tkliwej, litościwej i nabożnej, dla której słabych u drzwiczek cnoty zamków, jedna z powieści francuzkich tytułem powyższym przyozdobiona została! Pan W. F. pokazał nam serce kobiece ze strony dodatniej—dumne i czyste. Obelgę doznana odczuła pani Jadwiga na prawdę i nie szukała kompromisów ani z sumieniem własnym, ani z wymogami towarzystwa, ani też z wyobrażeniami, dzięki którym związek małżeński z brudasem, jakim się okazał p. Kazimierz, staje się pętem nierozzerwalnym. Odepchnęła kompromisy wszelkie, zerwała ze światem, w którym wzrosła, usunęła się z dziatwą do miasteczka ustronnego i cała się oddała obowiązkom matki i wychowawczyni syna i córki. Odpychanie kompromisów, pobyt w miasteczku, stosunki z mało-miasteczkowym towarzystwem, wyszukiwanie dróg jej nieznanym, wreszcie zejście się z dawnym korepetytorem, który się wykierował na nauczyciela w szkole publicznej i pisarza cenionego, wypełniają dwa tomy. Świetlaną drogę, którą bohaterkę swoją przeprowadza, podcieniował autor opowiadaniem o doli Maryśki, brnącej coraz to głębiej i głębiej w kałuży zepsucia, w którą ją z lekkim sercem pchnął szanowny obywatel. Maryśka w rozwiązłości doszła granicę ostatnią, rozpiła się przytem i po pijanemu zemściła się na uwodzicielu, którego przyprawiła o śmierć w płomieniach. Taką jest osnowa powieści, w której zużytkowaniu motywów psychicznych w sensie dodatnim, w odniesieniu do pani Jadwigi, jakoteż w sensie ujemnym, w stosunku do Maryśki, nic do zarzucenia niema.

Młody autor, bez uchybienia najmniejszego prawdzie i logice, wykazał duszę niewieścią i z tej strony, przed którą czoło chylić należy, i z tej, która politowanie dla ofiary i oburzenie do sprawcy upadku wzbudza. We względzie tym jest on poprawnym i poprawność bardzo dobrze o nim na przyszłość, jako o sile literackiej, wróży. Jest jednak „W okowach” kalectw parę, na które chromają i których usunięcie w następnych utworach wyjść może autorowi na dobre. W malowaniu stosunków towarzyskich, zdaje się, wzory brał nie z życia, ale z utworów bieżących i to przeważnie z takich, co je odtworzyły w karykaturze. Raz kłania się Bałucki, znów Lam. W drugiej ręce wyglądają oni nie koniecznie dobrze. Utwory następne zyskają ogromnie, gdy autor będzie sobie przed oczami stawił modele żywe i robił z nich taki, jak malarze, użytek. Malarzom zazwyczaj jedne i te same służą modele. Mimo to w odtwarzaniu różnią się. Indywidualizm artysty nadaje malowidłom cechy odrębne. Toż samo dzieje się z portretami. Potrzeba jednak malować portret nie z portretu, ale z modelu żywego. Sienkiewicz kreśli bitwy zamasyście, lecz mało z prawdą zgodnie; w „Lalce” relacje o bitwach w pamiętniku Rzeckiego wyglądają niemożliwie: pochodzi to ztąd, że Sienkiewicz i Prus odtworzyli je wedle książek, t. j., malowali portrety z portretów. Niech się tego p. W. F. wystrzeżga. Niech oraz (stanowi to drugie w nim kalectwo) przestrzeżga bardziej czystości językowej i poprawności gramatycznej. We wzglę-

dzie tym, pozwolę sobie wytknąć mu kilka usterek. Np.: „Po ceremonii i oficjalnych gratulacjach wszyscy zajęci konsumpcją.” W okresie tym na ośm wyrazów cztery cudzoziemskie, ostatni zaś wyraża nie to, co autor wyrazić chciał, ale chorobę zaniku sił żywotnych; ... „w fackie tym znawca dopatrył się rękami” — „się” zgoła niepotrzebne; ... „mrukał powieki” — mruka się powiekami; ... „w zamurzonej koszulinie” — czasownik „zamurzać” i przymiotnik „zamurzany” nie używają się w zastosowaniu do bielizny i odzieży; ... „Brzęk szklanki straconej nogą wijącego się dzieciaka i skomlenie jego” — dziecko nie skomli, skomlą szczenięta i t. p. Sporo, niestety, jest tego. Od usterek takich ustrzedz się można za pomocą wczytywania się w autorów, przestrzegających czystości języka. Z nowocześniejszych bodaj czy nie najpoprawniej pisze Świętochowski; luboć i z innych mało który dopuściłby się błędów powyżej wytkniętych. Wytknąłem je dla tego, że w autorze „W okowach” czuć się daje talent duży, który należy odpowiednio przyodziewać. Chędogi przyodziewek nie mało znaczy. „Jak cię widzą, tak cię piszą.” znaczy on tem więcej, że język jest skarbem bardzo drogim i dogładanie onego nigdy zanadto starannem być nie może.

Zarzut niestaranności około języka nie uczynię autorowi „Pogrzebu Shelley’a.” Młody poeta—p. A. Lange — obchodzi się z nim jak najbezpieczliwiej i tak samo obchodzi się z wierszem, wyglądającym jak rzeźba i nabrzmiałym harmoniją. Na próbę przytoczę początek poematu, którego tytuł wymieniłem powyżej:

„Cisza na niebie. Italskie błękity  
Popołudniowem słońcem się promienia;  
W oddali czarnych Apeninów szczyty  
Cieniem zawisły nad gajów zielenią.  
Ciepły, zachodni wietrzyk cicho tańczy,  
Ujawszy w parę powiewne etery  
Złotego puchu wonnej pomarańczy.  
Zda się, że słychać pocałunków szmery.  
Cisza na morzu.”

I tak dalej — do końca. Przez trzydzieści kilka stronnic autor trzyma czytelnika pod czarem brzmiącego w takt równomierny bardonu, przygrywającego opowiadaniu o spaleniu zwłok poety, zapoznanego za życia, uznanego obecnie za geniusza, przodującego w momencie, w którym geniusze poetyckie rzadkością na ziemi nie były. Dziś Shelleya tłómaczą, studyjują, analizują, rozpatrują z zewnątrz i wewnątrz i czerpią z niego, jak ze źródła żywej wody. Oddźwięk shelleyowski odbija się w poezyi francuzkiej i niemieckiej. Odbił się i w naszej (Jan Kasprówiec). Pan A. Lange poecie, co, będąc anglikiem, miłością całą ogarniał ludzkość, poświęcił wspomnienie, skreślone co do treści wedle legendy, która głosi, że ogień pożarł ciało i kości jego, nie tknął jeno serca.

P. A. Lange — zdaniem mojem — z zadania, jakie wziął na siebie, wywiązał się znakomicie. Co zamierzył—tego dopiął. Daremnie byśmy w poemacie całym szukali wierszy słabszych i mniej harmonijnych od tych, które przytoczyłem powyżej. Otwieram książeczkę na chybił trafił, trafiam na stronnicę 20 i czytając ustęp, jak do zwłok na stosie: „Izy jego zbierać przyszedł wiatr zachodni.”

„Bracie mój, ja twym duchem będę. Twe marzenia  
Twe ły i twoje czucia przeleję w naturę.”

Prześliczne to były marzenia: związanie miłością ludzkości z naturą, wyzwolenie Prometeusza i zapewnienie mu tryumfu.

Wiatr, co płomień podsycał, powtórzył je dokładnie a przepięknie słowami pana A. Langego, o którego talencie poetyckim powiedzieć można, co się mówi o muzyce Wagnera, że w niej harmonija przeważa nad melodyją. Stanowi to zresztą ogólną poezyi społecznej cechę (Leconte de Lisle). Panu A. Langemu wiele jest danem: od niego dużo wymagać i po nim dużo spodziewać się można. Posiada on—i talent i wiedzę.

T. T. Jeź.

## GŁOSY.

Informacje „Tygodnika Powszechnego”.—Spółka rybacka. — Regulamin obowiązków służbowych na drodze Iwanogrodzko-Dąbrowskiej.—Pan Hozer zagalopował się.

—(n) Pierwsze dwa numery odnowionego *Tygodnika Powszechnego* już się ukazały. Pismo przeszło na własność i pod kierunek p. Stanisława Narutowicza. Redakcja zapowiada, że *Tygodnik* „zajmie się głównie i nawet jedynie szarymi faktami i drobnymi potrzebami codziennego życia, tem samem powstrzymując się z konieczności od nadmiernej teoretyzacji, orderowanych pytań naukowych i rozpraw artystycznych”.

Ponieważ „jedno z pierwszych miejsc w rzędzie wypadków powszedniego życia, zajmują potrzeby społeczne” redakcja obiecuje zwracać na nie baczną uwagę i „w zastosowaniu do naszego kraju trzymać się będzie szranków rzeczywistości”. Uważnie również zamierza śledzić *Tygodnik* życie zagraniczne, bo „bardziej rozwinięta zagranica wyłania praktyczne rozwiązania różnych niedomagań, dających się uczuć w miarę (?) nowoczesnego rozwoju technicznego: reformy w kierunku ubezpieczenia choroby i starości, prawodawstwa fabryczne, sanitarne urzędy. Wszystko to są pierwsze próby, za którymi już dzisiaj państwo podejmować zaczyna dalsze. Te owoce nabywanego zwolna doświadczenia będą dla nas wskazówkami przy rozpatrywaniu dzisiejszej chwili”.

Badanie stosunków zagranicznych może być istotnie dla społeczeństwa naszego bardzo pouczającym. Jest to bodaj najlepsza metoda pedagogiki społecznej. Trzeba jednak stosunki obce przedstawiać zgodnie z prawdą, możliwie obiektywnie. Tymczasem w artykule „Z (e) stosunków czeskich”, widzimy zapożyczone od Kautsky’ego, a zgoła fałszywą charakterystykę partji staro i młodo-czeskiej. Autor z góry traktuje polityków, którzy o walce tych partji piszą, a czem one są — nie wiedzą. Całe szczęście, że znalazł się p. P., który artykuł Kautsky’ego „o narodowości” czytał i teraz nieumiejętnych naucza.

Młodo-czesi stają w obronie interesów włościan i drobnego mieszczaństwa, „czyli chłopów, sklepikarzy i małych majstrów”. Dla drobnej produkcji, której bronią, obce rynki nie są potrzebne, z tego powodu języka niemieckiego znać nie chcą.

Starzy bronią interesów wielkiej produkcji, więc uznają potrzebę uczenia się mowy niemieckiej. Ponieważ młodzi bronią form produkcji, którym grozi zagładą postęp techniczny i społeczny, nie są więc „partyjną przyszłości”.

Jasno i zgodnie z oryginałem nawet w takich punktach, jak np. że Niemcy „nie zdobyli z bronią w rękę ziemi czeskiej, lecz najechali ją za pomocą lepszej gospodarki”. Cały szereg krwawych walk od początku XV aż do połowy XVII wieku, później długi okres zaciętych prześladowań narodowości czeskiej, kiedy palono stopy książek i zabraniano mówić po czesku—to tylko tryumfy „lepszej gospodarki”. Kiedy bandy landsknechtów niemiecko-katolickich z bronią w rękę zaczęły napadać na Czechy, kraj ten pod względem kultury umysłowej i obyczajowej, a nawet gospodarczej—stał o wiele wyżej od ówczesnych, pograżonych w ciemności i barbarzyństwie Niemiec. O tem wyraźnie mówią nawet bardziej sumienni historycy niemieccy.

Twierdzenie o sojuszu młodo-czechów z klerykałami niemieckimi, jest również niezgodnem z prawdą. Młodo-czesi właśnie w sprawie szkoły wyznaniowej po raz pierwszy wystąpili stanowczo przeciw starym i oddzielić się jako stronnictwo odrębne. Dzisiaj wprawdzie krążą pogłoski o układach z klerykałami, ale gdyby te doszły do skutku, byłyby tylko kompromisem politycznym nie zaś sojuszem. Młodo-czesi, jako autonomiści, zgadzają się na to, żeby sprawy szkolne zależały od sejmów krajowych, co rzeczwiście doprowadzi w prowincjach niemieckich do przewagi żywiółów klerykałnych. Ale w szkołach czeskich na wpływy tego rodzaju pozwolić nie chcą. Jestto, zapewne, polityka egoistyczna, taka sama, jakiej up. trzymali się wstecznicy galicyjscy, którzy znowu z obawy wpływów duchowieństwa ruskiego przeciwni byli szkołom wyznaniowym. Można taki kompromis ganić, nie należy jednak mówić, że mło-

do-czesi są wstecznikami i że w sojuszu z klerykałami „trafił swój na swego”.

Zresztą p. P. zapowiada, że sprawami Czech zajmie się jego następcą, który zapewne na informacjach ze starego artykułu nie poprzestanie, a o nowych wypadkach lepiej będzie powiadomiony.

Nie możemy tu szczegółowo oceniać *Tygodnika*, zaznacząc więc tylko, że jak widać z zapowiedzi redakcyjnej i treści artykułów, ma być on istotnie pismem popularnym. Zadanie to, pomimo pewnych usterek, spełnia dosyć dobrze, o ile przynajmniej z 2 wydanych dotychczas numerów sądzić można.

— (o) Spółka rybacka należy do tych niewielu przedsiębiorstw zbiorowych, które u nas rozwijają się pomyślnie. Z tego względu sprawozdanie z jej czynności zastępuje na uwagę a działalność na naśladowanie.

W 1890 roku spółka prowadziła dwa gospodarstwa rybne, mianowicie w Żyrzynie (gub. lubeska) i Kocku (gub. siedlecka). W obu miejscowościach dzierżawa stawów trwać będzie jeszcze lat 12, t. j. do 1 lipca 1902 roku. W Złotym Potoku gospodarstwo pstragowe, na wielką założone skalę, wskutek przyczyn, szczegółowo w sprawozdaniu wykazanych, nie powiodło się wcale tak, że spółka zmuszona była zwrócić je właścicielowi, który tytułem odstępnego wypłacił jej rubli 4,280. Straciła więc spółka około 13,000 rubli. Gdy jednak Kock i Żyrzyn nie tylko pokrywały roczne wydatki ale i niedobory Potoka, przeto właściciel pozostało straty tylko około 2,000 rubli. Kapitalizowanie dochodów, zapewniając spółce trwałą byt, było jednak powodem, że uczestnicy nie zawsze otrzymywali procenty do ręki i że w tym roku otrzymać mogą tylko po 30 rubli od każdego 500 rublowego udziału t. j. 6%. Dzisiaj, gdy stawy w Żyrzynie są znacznie rozszerzone i ukończone, nie ulega wątpliwości, że dochód spółki z każdym rokiem wzrastać będzie.

W r. b. sprzedano ryb przeszło 90,000 funtów, a stan kasy spółkowej w dniu 1 lipca 1890 r. wykazuje gotowizny 6,716 rubli. Właściciel Kocka pragnie odkupić od spółki jej prawa dzierżawne a sprawozdanie zaznacza, że spółka musi ponosić znacznie większe koszty eksploatacji, niż ponosiłby sam właściciel, prowadząc gospodarstwo na własną rękę.

Z powodu urządzenia stawów w Żyrzynie spółka zniewolona jest prowadzić z sąsiednimi właścicielami procesy. Sprawy te przeważnie są już osądzone na korzyść spółki. Sprawozdanie wyjaśnia stanowisko tych spraw pod względem prawnym i technicznym i przytacza ciekawe opinie fachowych biegłych o wpływie, jaki wywierają stawy na zdrowotność okolicy i na zmniejszenie klęsk powodziowych.

Wreszcie autor referatu, a założyciel i kierownik przedsiębiorstwa p. A. Przanowski, podaje cyfry, dotyczące produkcji ryb i ich ceny, będąc zdania, że do nadprodukcji w tym kierunku jeszcze daleko; że choćby ryby znacznie staniały, to ogół tylko na tem zyska, a kilkunastu hodowców nie straci, gdyż i przy niższej cenie gospodarstwa rybne można z korzyścią prowadzić.

Ze sprawozdania widać, że spółka nie przestaje postępować w obranym kierunku praktycznym, a działając ogólnie, toruje drogę dla nowych przedsiębiorstw tego rodzaju: Szkoda tylko, że poświęcając tej sprawie znaczny nakład pracy i zdolności, nie rozszerza zakresu swych działań, jakto zamierzała skutecznie zamieniając się na towarzystwo akcyjne.

(p) Zakomunikowano nam ciekawy dokument: „Prawidła o obowiązkowych zajęciach urzędników i oficyalistów drogi Iwangrodzko-Dąbrowskiej.” Prawidła te, których autorem jest p. Kopytowski, naczelnik kancelaryi zarządu i podobno b. profesor Szkoły głównej, nawet na drodze Nadwiślańskiej byłyby chyba uznane za zbyt uciążliwe.

Wszyscy urzędnicy pracować powinni od godziny 9 do 4 po południu, bez żadnej przerwy na odpoczynek lub śniadanie.

Ta siedmiogodzinna praca jest jednak tylko normą minimalną. Każdy urzędnik bowiem ma wyznaczony sobie przez naczelnika służby zakres roboty.

Wyznaczoną mu pracę urzędnik musi spełnić bezwarunkowo w określonym terminie (§ 2). „Dla tego wskazany w § 1 termin zajęć (7 go-

dzin)” uważać należy za minimalną ilość godzin pracy i każdy urzędnik winien pracować przez taki przeciąg czasu (w dni powszednie wieczorem lub święta), jakiego potrzeba dla wykonania powierzonej mu roboty.

Nie dosyć, że urzędnicy drogi Iwangrodzko-Dąbrowskiej, pobierając wynagrodzenie za pracę dzienną, wykonywać muszą jeszcze robotę „od sztuki”—jeżeli p. naczelnik każe—ale na każde żądanie władzy muszą przychodzić do biura w dni świąteczne i niedziele dla „zajęć nadzwyczajnych.” (§ 3). Za zajęcia tego rodzaju nie mają prawa żądać wynagrodzenia<sup>1)</sup>. W razie jeżeli ilość godzin, poświęconych „zajęciom nadzwyczajnym”, znacznie przewyższa normalną ilość godzin pracy, oraz jeżeli urzędnik nie brał urlopu lub nie chorował—może on, wedle uznania naczelnika służby, otrzymać gratyfikację.

Urzędnik, który spóźni się do biura lub odmówi wykonania wyznaczonej mu bądź na godziny wieczorne, bądź na święta—roboty, podlega karze pieniężnej od rubla do 3 rubli. W razie zaś powtórzenia tych wykroczeń „winny” przeniesiony zostaje na niższą posadę lub otrzymuje dymisję.

Do powyższych wiadomości jedyny komentarz dodać należy: skazani na ciężką pracę i pozbawieni praw, przysługujących zwyczajnym wyrobnikom—urzędnicy drogi Iwangrodzko-Dąbrowskiej płacni są gorzej niż nędznie.

— (r) W numerze 8-ym *Ogrodnika polskiego* p. Piotr Hozer (ojciec), właściciel zakładu ogrodniczego w Warszawie i zarazem stały współpracownik<sup>2)</sup> pisma pomieścił artykuł p. t. *Kzut oka na stan rzeczy*, w którym wykazał przyczyny niepowodzenia swego, jako pioniera niezmiernie wzniosłych zapatrywań na ogrodnictwo.

Mianowicie p. Hozer uważa: że ogrodnictwo jest powołaniem do bezustannego wcielania myśli Bożej, a ogrodnicy są istnymi kapłanami w świątyni przyrody; że: kto pilnie chodzi około niewiela, temu wiele danem będzie; że wskazywanie młodym ogrodnikom tylko materialnych korzyści, jakie z ogrodnictwa wypływają, prozelitów prawdziwych nie wytworzy, owszem, tylko na gorzkie zawody narazić może... Wierzymy najzupełniej w szczerłość tych zasad p. Hozer, dziwi nas tylko, że autor, kierując się niemi, potrafił z niezgo dojsć do milionowej fortuny.

W końcu swego artykułu p. Hozer usprawiedliwia się: dlaczego, mając tak wzniosłe pojęcie o swym zawodzie, nie wychowuje i nie kształci ogrodników w tym duchu.

Najlepsze chęci p. H. spotykają następujące przeszkody:

1. Młodzi ogrodnicy wyznają epikurejskie zasady: że cały swobodny czas najlepiej zużytkować, przeleżawszy na łóżku, że czytanie i pisanie przeszkadza trawieniu. (Ogrodnicy u p. Hozer pracują od godziny 5-jej rano do 8-jej wieczorem, w niedziele i święta także po kilka godzin są zajęci. W innych zakładach handlowych ogrodnicy pracują jeszcze dłużej, a w mieszkaniach swych nie mogą nietylko czytać i pisać, lecz nawet—oddychać).

2. Główną przeszkodą, podług p. Hozer, jest brak zetknięcia z praktykantami. (Słyszeliśmy, że p. Hozerowie niekiedy dotykają swych praktykantów, a inni ogrodnicy, jak np. p. Bardet podobno bardzo często to czynią).

Wszystko to, co p. H. wypowiedział w swym artykule zwróciło naszą uwagę, a zainteresowało, gdy w N. 15 *Ogrod. pol.* znaleźliśmy replikę, nieprzyznającą słuszności zarzutom p. Hozer, wymierzonym przeciw młodym ogrodnikom. Ponieważ przy replice Redakcja *Ogrod. pol.* zawiadomiła w odsyłaczu, iż taki autor, jak pan Hozer, gdy co pisze i podpisuje swem nazwiskiem, komentarzów nie potrzebuje; sam on zapewne na zarzuty postawione odpowiedzieć potrafi; przeto ciekawi będąc, jak się się p. Hozer usprawiedliwi, przeglądaliśmy troskliwie wszystkie numery *Ogrod. pol.* i upragnionej obrony nie znale-

źliśmy. Jednocześnie wiemy, że p. Hozer przez cały ten czas cieszył się zdrowiem, a nawet występował publicznie z okazji jubileuszu (?) swego, prosimy więc redakcję *Ogrodnika* o łaskawe zawiadomienie, kiedy p. H. nareszcie odpowie na czynione mu zarzuty i czy będziemy mieli szczęście doczekać się w doczesnym naszym życiu jego samoobrony publicznej. Tak długie bowiem milczenie z jego strony upoważnia nas do mniemania, że zarzuty były słuszne najzupełniej i, że p. H. nie znalazł wcale argumentów odpierających.

## Z KRAJU.

Położenie służby dworskiej. — Optymista z Kaliskiego. — Handel kobietami. — Teatr lubelski i przytułek polonizny.

Kiedy przed pięciu laty rząd pruski ogłosił edykt banicyjny, wydalający z granic państwa niemieckiego 30,000 polaków, poddanych ruskich i austriackich, w powszechnym oburzeniu nikomu na myśl nie przyszło, że właśnie kanclerz żelazny działał w interesie naszych obywateli ziemskich, przynajmniej w powiatach pogranicznych, dostarczając im taniego robotnika. Jeden tylko głos odezwał się wówczas (o ile pamiętam w *Gazecie warszawskiej*), dowodzący ze stanowiska szlacheckiego, że wydalania nie są bez korzyści dla wiecznie upadającej większej własności. Ale to szczere odezwanie się jednomyślnie wówczas zakrzyczano.

Obecnie, kiedy rząd pruski pozwolił znowu przyjmować robotników polskich, jakkolwiek z pewnymi ograniczeniami, szlachta otwarcie wyraża swoje niezadowolenie z tego powodu. Emigracja do Brazylii zmniejszyła podaż rąk, a wędrowni do Prus ludu roboczego może bardzo jeszcze podnieść cenę najmu. Już i teraz chłopstwo coraz częściej na kiel bierze, skarżą się obywatele ziemscy, parobcy żądają podwyższenia pensji i zwiększenia ordynaryi, najemnika trudniej dostać aniżeli przed rokiem lub trzeba płacić drożej. Nasi politycy więcej nie długo żałować zaczną, iż Bismark się usunął.

Niewątpliwie emigracja w niektórych okolicach kraju przyczyniła się do podniesienia normy zarobku, nie w takim jednak stopniu, jak utrzymują płaczkowie własności większej. Ludności wiejskiej, żyjącej z wyrobku, wolnych rąk do pracy, taniego najemnika—mamy wciąż jeszcze nad miarę. Korespondent *Kaliszanina*—jak widać ze słów jego, obywatel ziemski—powiada, że gospodarstwa mają w dostatecznej liczbie tanią służbę dworską. „Brazylia nie zabrała nam tak wiele, więcej Prusy, mimo to jest, co potrzeba.” „Nie wiem”, dodaje, „z kąd się to wzięło: służba dworska robiła bezrobocie w całej okolicy; nastraszyli, lecz z wielkiej chmury mały deszcz, wytargowali trochę i wszyscy zostali.”

Pisze to wprawdzie jakiś poczciwy optymista, który i z ludzi i ze świata jest zadowolony. Ale optymista ten na poparcie swych poglądów przytacza fakty, a fakty ciekawe. Powszechnie np. słyszeć można skargi na upadek cen ziemi. Nie ma wątpliwości, że za ziemię dziś taniej płacą, aniżeli przed ośmiu lub dziesięciu laty, lecz i teraz za dobre majątki dobre dają pieniądze. Przed trzema laty sprzedano w Kaliskiem folwark po 5,000 rs. za włóczę, przed dwoma laty inny majątek kupiono po 3,800 a inny jeszcze po 3,200 rubli za włóczę. Obecnie za ostatni folwark, nie posiadający wcale łąk, zapłacił nabywca w stosunku 3,800 rubli za włóczę.

Rozprawy o emigracji wprowadziły na porządek dzienny kwestyję bytu i wynagrodzenia robotników wiejskich, oraz czeladzi dworskiej. Wiele trafnych uwag wygłoszono, wiele ciekawych faktów zaznaczono. Ale na jedną stronę sprawy nie zwrócono należytej uwagi. Nikt, o ile wiem, nie wykazał dowodnie, że wysokość płacy zarobnej i wynagrodzenia służby dworskiej pozostała taką samą, jaką była przed dwudziestu kilku laty, lub nawet obniżyła się, gdy tymczasem ceny artykułów niezbędnej potrzeby znacznie wzrosły, nie mówiąc już o podniesieniu skali wymagań. Nie mam danych o różnych miejscowościach i nie

<sup>1)</sup> Obecnie w niektórych wydziałach wprowadzono już obowiązkowe zajęcia wieczorne.

<sup>2)</sup> Byliśmy świadkami, jak na zebraniach miesięcznych Tow. ogrod. p. Edm. Jankowski, pionier „krajowego ogrodnictwa”, porozumiewał się z p. Hozerem w języku niemieckim. Chyba łatwiej mówić po polsku, niż pisać tak wzniosłe artykuły.



badaniem dokładnie wszystkich warunków tej lub owej okolicy, biorę więc dla przykładu tę część kraju, który mi jest dobrze znana, mianowicie gubernię lubelską.

W Lubelskiem bezwątpienia ludność wiejska ma się lepiej, niż gdzieindziej. Włościanie posiadają tu więcej i lepszej ziemi, aniżeli w innych okolicach (z wyjątkiem może gubernii suwalskiej), zaludnienie zaś jest mniejsze a zarobki uboczne zdarzają się tu i owdzie. A jednak i w gub. Lubelskiej pogorszyło się położenie ludności wiejskiej, zwłaszcza służby dworskiej. Pensja jest tu mniej więcej taka sama, jak np. w gub. Płockiej lub Kaliskiej, ale ordynaryja zwykle większa. Do niedawna wcale nie znano tak uciążliwego dla czeladzi obowiązku trzymania „posyłek” teraz zaś w wielu okolicach weszło to już w zwyczaj.

Korespondent *Gazety lubelskiej* z Wojsławic podaje takie oto szczegóły w danej sprawie: „Parobek dworski przeciętnie bierze pensji w gotowiznie rs. 18 i ordynaryi zboża korcy 12. Nadto dostaje ziemi pod kartofle prętów 180. Natomiast na nim leży obowiązek utrzymania t. z. posyłki t. j. chłopaka lub dziewczki do posług dla dworu. Posyłka otrzymuje nadto płacę, normującą się, stosownie do pory roku, według płac najemnika. Parobek bez posyłki pobiera tylko 8 korcy ordynaryi i 120 pr. ogrodu. Nie utrzymywanie jednak posyłki zdarza się niezmiernie rzadko i jest do pewnego stopnia wyjątkiem.

Ordynaryja składa się z: 4 korcy jęczmienia, 5 żyta, hreczki 1 1/2 i grochu 1 1/2. W odleglejszych stronach, ku południowi, do ordynaryi włączają i pszenicę, 1 lub 1 1/2 korca, w naszej okolicy jednak zwyczaj tego nie zaobserwowałem w żadnym dominium. Obowiązująca parobka praca zaczyna się latem ze wschodem słońca, kończy o zachodzie z jedną, godziną przerwą w porze obiadowej—zimną o 7 z rana do zachodu z taką przerwą.

Ceny najemnika za pracę w polu lub na gumnie są następujące: od 1 listopada do 1 kwietnia: mężczyzna 15 k. kobieta 12 1/2, wyrostek 10 k.; — do 1 lipca: mężczyzna 20 k. kobieta 15 k. wyrostek 12 1/2 k.; — do 1 września: mężczyzna 30 k. kobieta 25 k. wyrostek 20 k. do 1 listopada: mężczyzna 25 k. kobieta 20 k. wyrostek 15 k.”

Cena najmu jest w kilku punktach niższą, niż przed 15 laty, to samo powiedzieć należy o pensji, jeżeli podana cyfra (18 rs. rocznie) jest dokładną. Zdaje się, że zdarzyła się tu omyłka druku, gdyż dalej czytamy, że służący „na stole dworskim” (kawaler) pobiera 1 rubla kolendy, 26 zastąg i 1 1/2 rubla „na opranie.” Trudno przypuścić więc, żeby istniała tak znaczna różnica wynagrodzenia.

Położenie służby dworskiej, powiada autor, nie jest oplakanem, ale ostatecznie parobek nie ma możności oszczędzić i na starość czeka go zwykle kij żebraczy. Posuwając oszczędność i gospodarność do najwyższego stopnia mógłby służący odłożyć 10 — 15 rubli rocznie: „Nie pozwala mu jednak na to praktykowany w wielu dominacjach zwyczaj niewypłacania należności natychmiast, lecz zwlekanie z tem przez całe miesiące i lata (!). Wpycha się przez to pracownika w długie lichwiarskie, z których wybrnąć trudno.” „Temu to zawdzięczyć należy, mówi dalej korespondent, ruchy takie, jak przed kilku laty w Tomaszowskim, gdzie kilka wsi urządziło formalny strejk właścicielom większym, wobec takiego stanu rzeczy okazało się koniecznym sprowadzenie do robót polowych wojska.”

Ciekawa rzecz, co powie na to p. Jeziorański, który tak się burzał na prasę „zamiejsową” za rzucanie potwarzy na obywateli ziemskich. Teraz przecie mówi to samo prasa miejscowa, mówi pismo, nie podejrzywane chyba o żadne „szkodliwe doktryny.”

W niektórych miasteczkach gubernij warszawskiej i płockiej agenci namawiają przeważnie młode dziewczyny do emigracji do Brazylii, obiecując tam sute wynagrodzenie za służbę i prędkie zamążpójście. Niewątpliwie, przy gorączce emigracyjnej odbywa się znowu praktykowany u nas i w zachodnich guberniach przez żydów handel kobietami, które sprzedają do domów publicznych. W ostatnich czasach handel ten, zwłaszcza ze Wschodem, został stłumiony w pewnym stopniu wskutek aresztowania i skazania kilku głównych „kupców”, teraz sprzedaż kobiet do Ameryki

południowej znowu się wzmogła. W Argentynie, zwłaszcza w Buenos-Ayres, jak to pisał już nasz korespondent, znaczna większość żydów polskich i ruskich albo handluje kobietami, albo utrzymuje domy publiczne. Dodać trzeba, że handlarze ci podają się zawsze za polaków lub rosyjan z obawy, jak się zdaje, żeby nie zastosoowano do nich prawa, zabraniającego emigracji „azyjatyckiej”. Kobiety w domach publicznych w Ameryce południowej w znacznej części pochodzą z Królestwa, lub gubernij zachodnich, wyraz „polka” jest tam nazwą obraźliwą, oznacza bowiem po prostu nierządnicę. Biedne dziewczyny, trzymane w ścisłem zamknięciu, nie znając ani języka, ani stosunków miejscowych, nie mogą wyrwać się z niewoli. Zbywane z rąk do rąk, kiedy stracą młodość i wdzięki, mają przed sobą tylko perspektywę strasznej nędzy, zazwyczaj jednak te ofiary temperamentu społecznego wczesniej zabiera śmierć. Zaznaczyć trzeba, że agenci-żydzi nie oszczędzają również swoich rodaków i sprzedają je, tak samo jak polki. Rynek południowo-amerykański płaci za towar lepiej, aniżeli rynki wschodnie, zwłaszcza „blondynki” są poszukiwane. Zwykle za dziewczynę agent, oprócz zwrotu kosztów podróży, dostaje 10,000 franków. Dla takiego zarobku opłaca się ryzyko.

Przed paru tygodniami żebraczka Gumowska z Łodzi otrzymała list od córki swej Katarzyny, którą przed sześcioma laty agent wywiózł do Turcji. Katarzyna Gumowska trafiła lepiej niż inne, dostała się bowiem do haremu bogatego turka, gdzie przyjęła islamizm, a po śmierci swego pana wyszła; za mąż za uboższego turka, którego jest jedyną żoną.

W Argentynie lub Brazylii nawet takiego losu żadna ze sprzedanych dziewcząt spodziewać się nie może.

Ale dosyć tych smutnych widoków, przejdźmy do spraw weselszych.

W Lublinie inteligencyję miejscową żywo zajmuje sprawa teatru, a raczej spółki teatralnej. Spółka wybudowała gmach teatralny, a interesy jej nie świetnie idą. Ale czy źle, czy dobrze idą te interesy, czy akcyonaryjusze mają procent czy też nie—to nikogo, oprócz uczestników spółki, obchodzić nie powinno. Ba, ale tu przecie idzie o teatr, a więc jak dla nas—o sprawę pierwszej doniosłości. Więc nawet właściciele browaru Adolf i Juliusz „bracia Frick” piszą do spółki artykuł, który, wzorem Erckmana-Cnatrjana, podpisują razem, niby ogłoszenie firmy. Z odpowiedzi p. Piaseckiego, redaktora *Gazety* okazuje się, że bracia Frick, którzy taką mocną frykcyję sprawiają spółce i kontrolują jej fundusze, ani akcyj nie biorą, ani do teatru nie chodzą.

Mówiono niedawno w Lublinie o założeniu domu dla podrzutków lub przynajmniej przytułku położniczego, ale widocznie odłożono zamiary do lepszych czasów. Żadna firma, pojedyncza lub podwójna, nie poczuwała się wtedy do obowiązku obywatelskiego, nie zawierała głosu w sprawie stworzenia zakładu, który przy odrobinie dobrych chęci mógłby już istnieć i pożytek przynosić. Rozumie się, nie mówię tu o domu dla podrzutków, bo założenie takiej instytucji nie leży w zakresie inicjatywy prywatnej, ale skromnego przytułku położniczego, na wzór tych, jakie posiada Warszawa.

Obecnie będzie pobierany stały podatek na rzecz szpitali i zakładów dobroczynnych, w kwocie 250,000 rs. Oprócz tego władza rozpatruje projekt d-ra Fritschego opodatkowania biletów loteryjnych, co dało by rocznie 190,000 rs. Sumy te iść mają na utrzymanie szpitali warszawskich z tej racji, że do Warszawy ściągają chorzy z całego kraju. Prawda, ale za niezamożnych chorych z prowincyi płacą później gminy i miasta.

Zresztą nieraz dla tego może chorzy udają się do Warszawy, że w wielu miastach powiatowych szpitali wcale niema. Chelm np. który dziś liczy, co najmniej, 15,000 ludności nie posiada wcale szpitala. Sądzę, że teraz czas właśnie czynić starania u władzy o zakładanie szpitali tam, gdzie ich niema a gdzie są konieczne potrzebne. Takie fundusze są już zebrane, chodzi tylko o jednorazową zapomogę lub o stałą niewielki zasifek. Tak, ale to przecie nie teatr, nikt więc nie czuje ochoty mieszania się do „nieswoich” spraw.

J. Nieborski.

## Korespondencyja „Głosu”.

Z pow. mławskiego.

Nowy szwindel przy współudziale Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Od pewnego czasu dzieją się w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim rzeczy rzucające cię na cały stan ziemiański. Reprezentanci Towarzystwa lekceważą najelementarniejsze względy moralne i dopuszczają się wybrków prawie niepodobnych do uwierzenia. Przede wszystkim w postępowaniu władz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego ujawnia się rozwielenienie nepotyzmu, panowanie kliki, która dając przywileje i ulgi swoim protegowanym, z bezwzględnością i cynizmem gwałci prawa ludzi, po za kliką zostających. Zdeptanie prawa stowarzyszonego ujawniła niedawno rozprawa sądowa pp. Kuszłów z radcą Wiercińskim. Obecnie wchodzi znów na porządek dzienny, nowy oburzający fakt ograbienia przy pomocy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, z jednoczesnym faworyzowaniem przyjaciół pp. radców. W lipcu 1886 roku Śnieżko Błocki pożyczyl Marię z Kiwerskich Kosińskiej na hypotekę dóbr Kęczewo w pow. mławskim, obejmujących 64 włóki, 8,000 rubli na rok jeden. Zaraz w sierpniu tegoż roku Kosińska pomimo poddania się hypotecznemu rygorowi, nie pozwalającemu wydzierżawiać majątku, wydzierżawiła symulacyjnie Kęczewo swemu rodzonemu bratu Kiwerskiemu. W sierpniu 1887 r. w terminie płatności sumy, skoro Kosińska ani procentu ani kapitału nie płaciła, Błocki zmuszony został rozpocząć proces subhastacyjny. Kosińska wyczerpała wszystkie możliwe środki, by działać na zwłokę, i udawało jej się to przez 3 lata przeszło; w ciągu tego czasu, nie płacąc nikomu z wierzycieli procentów ani podatków, sama użytkowała dochody z majątku. „Gdy zaś za niepłacenie rat Towarzystwo wystawiło Kęczewo na sprzedaż, Kosińska zrobiła podanie do Dyrekcyi Płockiej, prosząc o udzielenie ulgi i rozłożenie zaległości na lat sześć. Jednocześnie Błocki, jako interesowany, dowiedziawszy się o tem, prosił ustnie i piśmiennie Dyrekcyję Szczegółową o nieudzielenie ulgi, gdyż jest to prosty wybieg, zrobiony na szkodę wierzycieli hypotecznych, dodając przytem, że on Błocki, łącznie z innymi wierzycielami, Kęczewo subhastuje, że Kosińska symulacyjnie dobra swe wydzierżawiła, a tym sposobem nie tylko nie zasługuje na żadne ulgi, a przeciwnie Dyrekcyja Szczegółowa powinna wiaść dobra w administracyję dla zabezpieczenia majątku od zupełnej dewastacyi. Dyrekcyja Płocka, pomimo tak wymownych argumentów, nieuczyniła zadosyć słusznemu żądaniu wierzycieli i poprzestając na sprawozdaniu delegowanego do Kęczewa Badowskiego (krewnego Kosińskich), przychyliła się do podania Kosińskiej. Dyrekcyja, udzielając dla dóbr Kęczewo ulgi, popełniła bezprawie; przez utworzenie zaległości 6,000 rs. dopuściła się pogwałcenia ustawy hypotecznej, obniżyła bowiem samowolnie prawa wierzycieli, będących po życze Towarzystwa.

Pomijamy już fortele używane przez Koś. by udaremnić Błockiemu windykowanie swych pieniędzy nawet z ruchomości i krescencyi w Kęczewie, nadmienimy tylko, że każde zajęcie przez komornika na rzecz długu Błockiego, Kosińscy potrafili fikcyjną dzierżawą przedmiotu wyłączyć od sprzedaży, i dopiero sądownie trzeba było swych praw dochodzić, po to jedynie, aby dać możność przez ten czas Kosińskim, na zajęte przedmioty nałożyć fikcyjny areszt.

Gdy taki fortel się nie udał, Kosińska zajęta krescencyję sprzedała samowolnie, i wytoczono jej proces kryminalny.

Gdy po trzyletnim procesie subhastacyja dochodziła do końca, Tow. Kred. za niezapłacenie ulgowej raty wystawiło Kęczewo na drugą sprzedaż (10 listopada 1890 r.), Kosińska podstawiła swego syna Bronisława, który z licytacyi nabył Kęczewo prawie za sam dług Towarzystwa Kredytowego, a wierzyciele hypoteczni i suma Błockiego, przeszło 10,000 rs. wynosząca, spadły.

Zmowa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego z Kosińskimi na obejście praw Błockiego uwydatniła się szczególnie przy samej licytacji

cyi. Kiedy p. T., wspólnik Blockiego, stanął do licytacji i złożył na ręce radcy Rościszewskiego kaucyję w listach zastawnych podług kursu, delegowany radca przyjęcia odmówił, żądając kaucyi w gotówce.

Gdyby radca Rościszewski odrzucił tylko pewną część listów, *niebędących listami Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego*, to w ciągu zostawionej na zamianę listów 1½ godziny może i w Płocku mógłby Blocki takowe zmienić. Tymczasem rzecz się inaczej miała; pan radca nie przyjął całej kaucyi 6,150 rs., domagając się gotówki, i stanowczo oświadczył, że nie przyjmie nawet listów zastawnych Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego.

Jednym słowem p. radca nie uznał pieniędzy tych samych, za które właśnie wystawiał dobra na sprzedaż. Wobec tego jedyny licytant *Kosiński* został uznany przez p. radcę za odpowiadającego warunkom licytacji. Tym sposobem i ostatni akt tego hypotecznego szwindlu, obmyślonego przez Kosińskich w celu zagrabienia kapitału Blockiego, został dokonany zapomocą władz Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego.

Zapewne p. Kos., zachęcony pomyślnym rezultatem operacji, znalazłszy się w posiadaniu Kępczawa bez grosza długu, postara się na nowo obciążyć hypotekę, by po kilku latach z pomocą Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego oczyścić znowu hypotekę i wykwitować tych ludzi, którzy wierzą jeszcze w uczciwość obywateli ziemskich i dadzą na hypotekę ostatnie swe mienie. *ng.*

## Przegląd społeczny.

**Łomża.** (Kor. „Głosu”). Zazwyczaj przy końcu roku zaglądamy w przeszłość i staramy się uczynić chociaż pobieżny jej rachunek. Dla nas miniony rok nie przyniósł nic nowego i dobrego. To, co chcieliśmy stworzyć, spotkało się z tysiącem przeszkód i z brakiem poparcia ludzi, mogących przy chęciach coś zrobić. Mam tu na myśli Towarzystwo kredytowe miejskie, o którym obecnie zupełnie ucichło i, zdaje się, na zawsze.—Projekt utworzenia szkoły rzemieślniczej także utonął w zapomnieniu, dopóki nie wyrzuci go na ląd stały jaka energiczna ręka, ale jakoś na to się nie zanosz. Drugie dwie instytucje: kasa przemysłowców i Towarzystwo dobroczynności rozwijają się (jak na nasze miasto) dosyć pomyślnie, szczególnie pierwszą pochwalili się możeni. Sprawozdania z działalności tych instytucji za rok ubiegły drukowane jeszcze nie były, nie mogę więc udzielić wam szczegółowych informacji. Na zakończenie starego roku urządzony był w miejscowej resursie bal na dochód Towarzystwa Dobroczynności. Dochód z tego balu nie jest mi wiadomy, w każdym razie zrobił on pod każdym względem fiasco. Urządzający zabawę p. S., jako prezes Tow. Dobr., czynił wszelkie przygotowania i zabiegi, aby zgromadzić spory zastęp gości z miasta i ze wsi. Zdawało się z początku, że wszystko pójdzie dobrze. Wieś udział swój przyrzekła i byłaby słowa dotrzymała, gdyby nie nasze modne salonowe lwy, które gorliwie krzątały się, aby zabiegi p. S. na niczem się skończyły. Rozpowiadano na wsi, że towarzystwo z miasta będzie „nie bardzo,” że młodzież z miasta nie dopisze, w mieście zaś głoszą, że wszystkie panie ze wsi będą postrojone, miejscowe więc panie udziału wzięść nie chciały. Rezultat tego wszystkiego, rozumie się, był fatalny. Zgromadziło się wprawdzie sporo mężczyzn, pań zaledwie 10. Zabawa się nie udała, dochód więc musi być bardzo mały. Czy możemy się dziwić, że ludziom dobrej woli opadają ręce, gdy spotykają się z takimi przeszkodami i to na każdym kroku? Jedyny pocieszający fakt zanotować muszę, mianowicie, że gra w karty w mieście nassem po trochu się zmniejsza. Mówię po trochu, gdyż sprzykrzywszy sobie kanioty, sztosy, nawet winty, wymyśliłiśmy „bezika” który nie pochłania takich sum, jak gry hazardowe. Tysiące, tysiące w przeciągu paru ubiegłych lat przegraliśmy. Niejeden zachwiał przyszły byt swych dzieci lub krewnych, tracili pieniądze obywatele ziemscy, doktorzy, prawnicy i t. d., a głównie utracili prawie wszyscy z nich zdrowie i zdolności. I pomyśleć, że miasto i okolica, która wyrzucała z kieszeni setki rubli, nie mogła utrzymać swego pisma, jakim było „Echo Łomżyńskie,” którego prenumerata kosztowała wyraźnie rs. trzy. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym za rok, biorąc pióro do ręki w celu uczynienia nowego rachunku bieżącego roku, doniósł całemu światu, że poprawiliśmy nasze życie towarzyskie, że czytujemy więcej poważnych pism i książek, a mniej *Bluszczów* i pism szkaplerznych, że nie psujemy nikomu zabiegów przy zorganizowaniu jakiegokolwiek instytucji, żeśmy stworzyli szkołę rzemieślniczą, a głównie bezpłatną czytelną

dla niezamożnych mieszkańców Łomży. O tej ostatniej instytucji pomyśleć szczerze winniśmy i tego przy rozpoczynającym się roku ludziom dobrej woli życzyć winniśmy.—*Rodak.*

**Radom.** (Kor. „Głosu”). Pomyślny rozwój czytelnicy bezpłatnej w Radomiu zasługuje na rozgłos w kręgach inteligencji prowincjonalnej, zwłaszcza skupionej w większych miastach, i powinien zachęcać do szczytowania podobnych instytucji wszędzie, gdzie jałowa niwa naszego czytelnictwa na to pozwoli. Pozwolicie więc, że korespondencyjnie dzisiaj poświęcę wyłącznie czytelnicy, czerpiąc dane ze świeżo ogłoszonego sprawozdania za r. 1890. W ubiegłym roku czytelnia otwartą była na użytek uczestników 338 godzin, w czasie którym zapokojono 4911 zapotrzebowań wydaniem 5944 tomów książek, nie licząc czasopism. Liczba uczestników wzrosła w ciągu roku ze 117 do 171 (oprócz przygodnych). Bez opłaty korzystało z książek 5 członków, pozostali płać jednorazowo wpisowego 20 kop. Wśród uczestników stałych czytelnia liczy: 59 rzemieślników, 8 pracowników warsztatów kolejowych, 14 małoletnich, czytających z upoważnienia rodziców lub opiekunów, 41 urzędników, 3 farmaceutów, 1 geometrę, 1 mechanika, 1 nauczyciela prywatnego, 4 drobnych kupców, 3 subiekty handlowych, 4 szwaczki, 2 ogrodników, 2 muzykantów, 9 woźnych, bez bliżej oznaczonego zajęcia 20.—Czytelnia posiadała w początku roku 642 dzieła, w końcu roku — 1336 (russkich i polskich) w 1714 tomach, oszacowanych na sumę 2158 rubli. Połowę prawie czytelnia nabyła z własnych funduszy, resztę dopełniły ofiary. Czasopism warszawskich otrzymywano 30.—Do najpoczytniejszych należały powieści: Sienkiewicza, następnie pow. historyczne Kraszewskiego, Jeża, (Rycerz chrześcijański) Coopera (Stepy), Dostojewskiego (Zbrodnia i kara), Prusa (Lalka), Mayne-Reida, Zacharjasiewicza, Szymańskiego, Korzeniowskiego i t. d.—Zarządzającym czytelnią jest p. Hofman. Dyżury w ciągu roku pełnili: p. p. Hofman, Wędrychowski, Ruszczewski, Kobyliński, Szafranski, Górski, Thomas, Nynkowski, Okoniewski, Laskowski.—*Gama.*

### Z CESARSTWA.

**Wilno.** (Kor. „Głosu”). Zakończyliśmy rok ubiegły kilku bankructwami zamożnych do niedawna arystokratów i firm kupieckich. Te bankructwa rodzin możnych, tytułowanych, nie obył się bez brudnych szwindłów, co wymownie świadczy o wzrastającym rozkładzie moralnym szlachty. Z powodu wzbudzenia żydom utrzymywania szynków na ziemi, do nich nie należącej, wiele z nich w ostatnich czasach zamknięto; dosyć powiedzieć, że na rok bieżący wykupiono w Wilnie o 500 patentów mniej, niż w r.eszłym. Zakaz powyższy niewątpliwie wpłynie w pewnej mierze na zmniejszenie pijaństwa po wsiach.—Sprawa ulepszeń sanitarnych w naszym mieście, ciągle w radzie poruszana, stoi pomimo to w miejscu. Komisya sanitarna, dzięki nieracjonalnemu podziałowi pracy między członków, nie pozostawia śladów swej działalności; przy dobrych chęciach komisji, mogłaby praca postępować lepiej, gdyby nadzór sanitarny członkowie podzieliłi terytoryjalnie, a nie rozstrzeliwali się na całej przestrzeni. Podnoszono w radzie myśl założenia instytucji leczniczo-sanitarnej, wiadomo bowiem, że dotychczas nie posiadamy ani klinik, ani instytutu szczytowania ospy, ani położniczego itp. Kiedy ta myśl zostanie urzeczywistnioną, nie pytań o to obecnej rady miejskiej. Nawet *Kraj*, którego korespondenci trybularzami pełnymi pochwał okazują miejscowe powagi, miał coś do zarzucenia naszej radzie; ja zaś powiadam, że rada jest taką, jaką ją chcą widzieć wyborcy, i do nich trzeba się zwracać z żalami, że nie chcą dać miastu przedsmaku wyższej kultury. Ludzie nie lubią postępu, wolą stać w miejscu; a kto się nie rusza dla tego tylko, że się cofać nie może, ten zamiast rumaków woli zaprząd dla parady manekiny. Cóż manekiny winne, że stoją w miejscu?—Kursy dentystyczne Levy'ego nie zostały zatwierdzone, zniszczono więc wykłady teorii, pozostały tylko pracownie.—Nasz klub chylił się ku upadkowi; w tym roku odpadło kilkudziesięciu członków. Wielu przeszło ztąd do klubu *wojskowego*, z przepechem odnowionego. *Niewart.*

**Kamieńskieje, stalownie.** (Kor. „Głosu”). Nie wymieniając miejsca, podajemy fakt rzeczywisty, który miał miejsce w jednym z większych zakładów fabrycznych, a który wymownie maluje stosunki nasze w tej dziedzinie. Majster zbałamucił żonę robotnikowi pod nim pracującemu. Wbrew zwyczajowi robotnik raz jednego wyszedł wcześniej z fabryki, niż zwykle; otrzymał na to pozwolenie. W domu zastaje żonę w objęciach swego majstra. Wszczęła się bójka, w której pokrzywdzony mąż został poturbowany przez majstra, chłopca znacznie silniejszego. Pokrzywdzony i obity niezwłocznie udał się ze skargą na majstra do zarządu fabrycznego. Tam mu odmówiono, tłumacząc iż całe zajście jest sprawą prywatną, i że tylko na drodze sądowej robotnik może poszukiwać satysfakcyi. Tymczasem żona robotnika znikła, zabierając z sobą wszystko, co było w domu kosztowniejszego. Ukrywał ją gdzieś majster, który po

niejakim czasie zawiesił na sobie zegarek męża swej kochanki. Robotnik o zegarek upominać się począł, a gdy majster go sfukał za to, podał skargę do sędziego, oskarżając majstra o kradzież zegarka. Ten w obronie swojej złożył sądowi list własnoręczny żony robotnika, który stwierdza, że zegarek sama podarowała majstrowi. Pomimo to sąd skazał majstra na osiem dni aresztu. Tu już do sprawy wniósł się zarząd fabryczny i na same święta Bożego Narodzenia wydalil robotnika za *obrazę majstra*, tego bowiem wymaga *rygor fabryczny*; niewolno robotnikowi skarżyć majstra swego o zło-dziejstwo. Rygorowi stało się zadość, choć jedno życie ludzkie zostało złamane. Dodać musimy, że majster i szef zakładu fabrycznego, o którym mowa, są Niemcami, a robotnik—polakiem. *Robotnik.*

**Petersburg.** Z okazji nowego roku wszystkie pisma dały ogólne rzuty oka na wypadki zeszłoroczne. *Niedziela* uważa rok zeszły za bardzo ważny, uwydatnił on bowiem charakterystyczne rysy nowej epoki wewnętrznego rozwoju państwa, znacznie różnej od epoki ubiegłej. Reforma ziemstw i samorządu włościańskiego (ziemscy naczelnicy), oraz projektowana reforma samorządu miejskiego—zaznaczają jeden z głównych kierunków nowego prądu—a mianowicie podniesienie znaczenia szlachty, której powierzono przewodnictwo w sprawach wewnętrznych. Dalej widzimy opiekę rządu nad wielkim przemysłem i coraz bardziej zaznaczający się prąd protekcyi celnej. Przedstawiciele przemysłu odbywają często zjazdy, tworzą syndykaty i zwracają się do rządu z petycjami. Trzecim wreszcie charakterystycznym rysem epoki obecnej jest nacjonalizm. Zaostrzają się coraz bardziej kwestyje finlandzka, bałtycka, żydowska i niemiecka. Nietylko w społeczeństwie i prasie zaznaczyła się zmiana kierunku, widać też samo w polityce rządu. Widocznie uznano, że zlanie się i pogodzenie innoplemieniów, z narodem ruskim może być osiągnięte na innej drodze, bez autonomii drobnych plemion. W tym kierunku zanotować należy ograniczenie praw żydów, wprowadzenie nowych sądów i szkół do gubernij bałtyckich, reformy pocztowa, monetarna i celna w Finlandyi, rewizya kodeksu finlandzkiego wreszcie wysłanie specjalnych urzędników do kolonij niemieckich w południowej Rosyi. Jednocześnie z zaznaczonymi wypadkami zanotować należy większe zainteresowanie się rządu rozwojem ekonomicznym państwa, opieką nad rolnictwem, podniesieniem dobrobytu mas i t. d.—Synod wypracował przepisy egzaminów na stopień nauczyciela lub nauczycielki szkół cerkiewno-parafialnych. W Kijowie otwarto specjalną szkołę dla przygotowywania tego rodzaju nauczycieli.—Wszystkich lekarek, praktykujących obecnie w Rosyi, jest 409, ponieważ zaś ukończyło kursa lekarskie 600 kobiet, widocznie więc dość znaczna część ich po wyjściu za mąż praktykę się nie zajmuje. Z wyżej podanej liczby 199 lekarek zajmuje posady, reszta około 60% (bo 245) lekarek zamieszkuje w miastach gubernijalnych (w tej liczbie w Moskwie, Kijowie, Odessie i Petersburgu 113), w miastach powiatowych 83 i po wsiach 81 (czyli 20%). Obliczają, że 50% lekarek ma dochodu z praktyki więcej niż 500 rs. rocznie.—Prof. Glazenap otrzymał od akademii paryskiej nagrodę za obliczanie orbit gwiazd podwójnych.—Siostrzenica Tarasa Szewczenki, Kowtunowa, otrzymała dożywotnią pensyję 300 rs. rocznie.—Wyszedł trzeci tom taniego wydania dzieł Hleba Uspienskiego (cena rs. 1 kop. 50), zawierający na 700 stronicach wielkiego formatu przeważnie dawne szkice i opowiadania, nie pomieszczone w tomach poprzednich.—Spis jednodniowy wykazał, że ludność Petersburga bez przedmięsie wynosi obecnie 956,226 mieszkańców. Od ostatniego spisu z r. 1881 przybyło 94,923 ludzi, co równa się 1,1% przyrostu rocznego.

### Z ZAGRANICY.

**Kraków.** (Kor. „Głosu”). Ważny zwrot w akcyi filantropijnej naszych kobiet mam dziś do zanotowania. Dotąd, jak wiadomo, działalność naszych pań obracała się około niesienia pomocy afrykańskim murzynom za pośrednictwem kar. Lavigerie, Hajoty i specjalnych instytucji, dalej urzędzenia rautów i balów na rzecz św. Salomei, mężkiego i żeńskiego Tow. Wincentego à Paulo, św. Józefa i t. d. „Gorliwa praca” wypełniała cały dzień a niekiedy i noc pochopnym filantropkom. Nareszcie Hajota zapowiedziała swój odwrót afrykański, a damy przyszły powoli do przekonania, że taka afrykańska zabawka dobrą jest dla zabicia czasu, ale nie w chwili, gdy ważniejsze kwestyje leżą odłogiem. Grono energiczniejszych niewiast jęło zazdrosem okiem spoglądać na świetnie rozwijające się stowarzyszenie oszczędności kobiet we Lwowie i po krótkich naradach powołało do życia takąż instytucyę, na lwowskich wzorach opartą, w Krakowie. Celem Towarzystwa jest a) krzawieć w rodzinach poczucie obowiązku oszczędności rozsądnej, wolnej od skąpstwa b) zachęcać do składania zasobów drogą oszczędności, z czego ma powstać kapitał, od którego procenty będą obracane na cele ekonomiczne i filantropijne, c) wspierać podupadłych właścicieli mniejszych posiadłości włościańskich przez *udzielanie zapomóg* i do-

pomagać ubogim gminom w zakładaniu szkół ludowych. Widzimy więc, że towarzystwo krakowskie rozwinęło szerszą działalność, która szczególnie w dwóch ostatnich kierunkach, o podkładzie społeczno-ekonomicznym, może przynieść konkretne wyniki, a tem samem zrehabilitować podsarganą opinię filantropii naszych pań. Prezesową Towarzystwa obroną została pani Mieczysława Pawlikowska. Życzymy nowej instytucji, aby nie postępowała utartym szlakiem naszych stowarzyszeń, to jest nie nieuprawiała w swym zarządzie polityki koteryjnej i nie dawała się uwieść prądom ubocznym natury prywatnej, lecz całą swą usilność skierowała około wprowadzania w czyn zamierzonych programem zadań.—Dnia 1 lutego odbędzie się w Krak. starostwie ankieta w sprawie utworzenia wydziału lekarskiego na uniwersytecie lwowskim, w której przewodniczyć ma wice-prezydent rady szkolnej p. Bobrzyński. Nie od rzeczy byłoby wskazać przy tej sposobności naczelnikowi naszej magistratury szkolnej na wiele wadliwych urzędów krakowskich szkół średnich.—Kiedy mowa o szkolnictwie, to trudno mi nie wspomnieć o niezmiernie charakterystycznym odczuciu się nowego organu, wychodzącego w N. Sądu pod redakcją nauczyciela p. Henryka Kisielewskiego. „Szkolnictwo ludowe” (taki jest tytuł dziennika) żąda ni mniej ni więcej tylko upaństwowienia szkoły ludowej. Zapewne, że szkoła ludowa nie jest w Galicji traktowaną w sposób odpowiedni, że nauczycielstwo jest źle uposażone, ale pomimo wiadomych kroków droga reformy szkoły ludowej prowadzi nie tędy, jak wskazuje p. Kisielewski t. j. nie przez rząd, lecz przez zastosowanie gorliwszej nad nią opieki ze strony czynników krajowych. O sprawie pomnika dla Mickiewicza możemy dziś tyle powiedzieć, że iluzoryczny komitet, pomimo, że stracił całą powagę i zaufanie, nie myśli ustępować. P. Przędziński obwieściła w swych organach, że dzieło tępuje (a jakże), i że pomnik poety stanie przed listopadem 1893 r. Sprawę najważniejszą obecnie, wyboru miejsca pod monument rozstrzygnie wkrótce rada miejska; mamy niepłonną nadzieję, że reprezentacja Krakowa zechce uwzględnić życzenia ogółu, oświadczającego się za rynkiem głównym, a tem samem potępi prywatę familij stańczykowskiej, upierającej się przy stawianiu pomnika u wylotu dwóch ulic, położonych w arystokratycznej dzielnicy. Najlepiej byłoby umieścić tam pomnik domorośłego estetyka hrabiego, dla uwiecznienia jego „zasług” około sprawy publicznej.—Bar. Hirsch zamianował już kuratoryję. W skład jej (z wyjątkiem dwóch osób) wchodzi niemiecy lub żydzi, nie mający absolutnie krajowych stosunków, którzy jedynie na niekorzyść Galicji działać mogą. Teraz oczekujemy jeszcze rezultatu wyborów do komitetów wykonawczych, które odgrywają decydującą rolę.—Prof. Kleczyński, szef bióra statystycznego pracuje nad popularną broszurą dla ludu o ustawodawstwie, sejmie, radzie państwa, oraz instytucjach autonomicznych. *Vox.*

P. S. Trybunał wiedeński odrzucił zażalenie nieważności, wniesione przez trzech skazanych w procesie wadowickim, mianowicie przez: Ehrlicha, Wasserberga i Barbera. Rozprawa, oznaczona na dzień 28 b. m. zajmie się tedy rozpatrzeniem zażaleń nieważności reszty skazanych, których jest dziewięciu.

Lwów. (Kor. „Głosu”). W jednym z poprzednich listów przyrzekłem wam poruszyć sprawę naszych „doktorów” wiejskich. Dziś spieszę wywiązać się z obietnicy. Oto przyczynki do rozwoju znachorstwa w Galicji. Jednym z głośniejszych „doktorów” jest chłop Leśniak z Łaskowej, do którego nawet lud z dalszych stron odbywa pielgrzymki. Znachorowi przynoszą mocz chorego we fiaskach; po zbadaniu tegoż Leśniak udziela rady najożęściej ustnie, rzadziej piśmiennie—lekarstw żadnych nie daje. Za udzieloną poradę płaci mu od osoby 20 centów. Leśniakowi wierzy lud bardziej, niż prawdziwym lekarzom, a wiarę swą usprawiedliwia tem, „że on uczony od natury.” W Jaworsku żyje chłop, nazwiskiem Bojdo, słynący za czarownika. Różne wieści krążą o nim wśród ludu. Opowiadają np. po wsiach „że Bojdo może tak uczynić człowiekowi, że wychodzić będą z jego ust, nosa i t. d. różne owady, że dziewczynie, która nie chciała z nim rozmawiać, potrafi tak zrobić, że jej zaraz ręka spuchnie.” Bojdo zbiera rozmaite owady jaszczurki, węże i t. p. które suszy na kamieniu do słońca i wszystko to trze na proszek. Znachor leczy w sposób następujący: koszulę, zdjętą z chorego, kładzie na stole, kropi ją trzykrotnie, a za każdym razem odmawia jakąś modlitwę. Potem zwija koszulę i oddaje z tem poleceniem, aby ją chory nosił na sobie 9 dni, następnie każe ją oplukać w rzece i dalej nosić. Przyniesiony mocz chorego stawia we fiaszeczce na oknie do słońca, a po pewnym czasie zamąca i zamawia do trzech razy. Wówczas stawia dyjagnozę choroby; udziela rady, za którą żąda od 50 ct. do 2 złr. „wedle ałożoności.” Dodad jeszcze winieniem, że każdy znachor w czasie zamawiania mierzy chorego sznurkiem.—Namiestnik bawi od kilku dni w Wiedniu w sprawie przyszłych wyborów do rady państwa. *Lambda.*

K. S. Przed sądem karnym rozpoczął się tutaj dziś

proces przeciw proboszczowi Kulikowskiemu, ks. St. Stojałowskiemu któremu prokuraturyja między innymi zarzuca, że usiłował groźbami zmusić adw. dr. Skowrońskiego do uchylenia konkursu (zajęcia majątkowego); ks. Stojałowskiemu broni znany adwokat Ar. Fleszner.—Inżynier Ramułt zakłada w Bułgarii filiję sprzedaży wyrobów tkackich z Krosna.

## PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Niezwykle surowa zima stała się prawdziwą klęską, zewsząd dochodzą wieści o straszliwej nędzy upośledzonych. W Londynie masa ludzi pozostaje bez zajęcia i dachu nad głową. Sprawę pogarsza zatarg szkockich robotników kolejowych z towarzystwem, który dotąd nie został załatwiony, pomimo że roli arbitra podjął się książę Edyngurski. We Francji izby zawotały 6 milionów franków dla ubogiej ludności, nie mającej środków do nabycia opału, a mianowicie 2 dla mieszkańców miast i 4 dla mieszkańców wsi. Po za tą klęską, uwydatniającą zakorzenione dolegliwości społeczne, w tygodniu ubiegłym na porządku dziennym były sprawy celne.

W ciągu posiedzeń parlament niemiecki rozprawiał nad wnioskami socjalisty Auera i wodza wolnomyślnych Richtera. Pierwszy z nich żądał zwołania cel zbożowych, jako nader uciążliwych dla uboższych. Drugi stawiał podobne żądanie w formie umiarkowańszej—obniżenia. Generał Caprivi zapewniał o troskliwości rządu i oświadczył, że pertraktacje handlowe z Austryją są na najlepszej drodze. Richter wyraził swe zadowolenie, gdyż jak wiadomo, jedną z ich podstaw jest obniżenie cła od produktów rolnych monarchii austro-węgierskiej. Za wnioskami Auera i Richtera głosowali wolnomyślni, socjaliści i demokraci. Centrum i zachowawcy, jako przedstawiciele interesów większej własności, głosowali przeciw. Konserwatyści nie są też zadowoleni z układów z Austryją, z których istotnie skorzystają przedewszystkiem sfery przemysłowe. Książę Bismarck bardzo wyraźnie nawet wypowiedział się przeciw „daninie” na rzecz Austrii, za co gromili go w parlamencie wolnomyślni, wylewając żółć, gromadzoną w ciągu tylu lat. Zaznaczyć też musimy, że w liczbie obrońców cel, był, naturalnie, i przedstawiciel szlachty polskiej p. Komierowski. Sprawa traktatu z Austryją poruszona była również na sejmie pruskim, przyczem Windhorst oświadczył, że w sprawie tej okaże rządowi poparcie.

W tymże sejmie posłowie Czarliski i Rickert domagali się zniesienia komisji kolonizacyjnej. Minister Miquel dowodził, że komisya ma na widoku cele kulturalne, nie wojownicze. Stwarza ona na kresach ludność, która przyspieszy chwilę przyjaznego pozyoia dwóch narodów. Sprawami celnymi żywo też zajmowano się we Francji. W Lyonie panuje ogromne przerażenie wobec projektowanej jakoby podwyżki cła od jedwabiu surowego. Mityngi protestujące i petycje do rządu są tu na porządku dziennym. W Annoncay znowu 2,500 garbarzy protestuje przeciwko ocleniu skór. Trudno widocznie za pomocą cel zadowolnić wszystkie sprzeczne interesy przemysłowe.

W Brukselli w d. 20 b. m. odbyła się wielka demonstracja na rzecz głosowania powszechnego. Tłumy przeszły przez miasto i oddały burmistrzowi odpowiednią petycję, dla wręczenia izbie deputowanych. Wszystko odbyło się w porządku. Robotnicy usunęli się na plan drugi, ustępując przewodnictwo liberalnemu mieszczaństwu. Pomimo że zawczasu wiedziano, iż manifestacja ma być zupełnie pokojową, rząd przedsięwziął nadzwyczajne środki ostrożności, ściągając wojsko do stolicy, słowem gotował się jakby do walki z rewolucyją. Postępowanie takie wywołało surową krytykę w parlamencie ze strony Jansona, który utrzymywał, iż rząd uoczył wszystko, co mógł, dla wywołania zaburzeń.

Rozprawy sejmu czeskiego nad podziałem rady gospodarczej na 2 kuryje narodowe w drugim czytaniu ukończone zostały. Gregor i Vaszaty przemawiali bardzo energicznie. Gregor dowodził, że przedewszystkiem należy zmienić stosunek Austrii do korony czeskiej, zamienić scentralizowaną Austryję na federację krajów, a wówczas zawarcie ugody z Niemcami nie będzie przedstawiać trudności. Głosowanie staroczechów za podziałem rady wywołało burzliwą demonstrację uliczną, podczas której wybito szyby w mieszkaniu Riegera. Młodoczescy przywódcy potępili ten wybrzyk. Złanie się realistów z młodymi jest obecnie zupełnem. Prof. Masaryk wybrany został do komitetu wykonawczego stronnictwa młodoczeskiego, które przedzierzgnąć się ma w „wolnomyślni” i pod tym hasłem wystąpić podczas wyborów.

Zatarg anglo-amerykański o morze Berynga przybrał niespodziewany obrót. Rząd kanadyjski, za zgodą Anglii, wniósł tę sprawę do sądu waszyngtońskiego, z czego amerykańskie zadowolenie nie są i utrzymują, że sąd tej kwestyi rozpatrywać nie może.

Powstanie indyjskie zakończone zostało, rokoszanie złożyli broń. Natomiast powstanie w Chile trwa dotąd. Przyczyną jego jest arbitralny postępek prezydenta Balmacedy, który rozwiązał izbę i nakazał pobór odrzuconych przez tę ostatnią podatków. Izba wydała protest i wezwała do powstania. Flota okazała się po stronie izby, armija zaś, jak się zdaje, jest za prezydentem.

Osobistość aresztowanego w Olot nieznanego została ostatecznie wyjaśniona, nie ma on nic wspólnego z Padlewskim. Sprawa osób, oskarżonych o okazanie pomocy temu ostatniemu, sądzona była powtórnie. Sąd zmniejszył karę Gregoire'owi z 8 miesięcy na 4, Labruyere'a zaś uwolnił zupełnie, a to na zasadzie, że zachodzi wątpliwość, czy Labruyere wywiózł istotnie za granicę Padlewskiego.

Górnicy w Charleroi postanowili zaprzestać pracy w ciągu jednego dnia w tygodniu, a to w celu, żeby stowarzyszenia wynajęły większą ilość robotników.

Narodowo-liberalni zamierzają się zwrócić do rządu z zapytaniem, co zamierza przedsięwziąć, aby przeszkodzić projektowi Liebknechta założenia akademii socjalistycznej w Berlinie. Przypuszczają powszechnie, że rząd, po zniesieniu ustawy wyjątkowej, nie ma możności wzbronienia socjalistom tego, co dozwolonem jest kongregacyjom religijnym i osobom prywatnym.

Uniwersytet w Neapolu został zamknięty wskutek zaburzeń studenckich.

## KRONIKA POWSZECHNA.

— **Rozporządzenia rządowe.** Cudzoziemskie towarzystwa akcyjne, które we właściwym czasie wyrobiły sobie dokumenty handlowe na 1890 rok, mogą takowe otrzymać i w bieżącym roku.—Ogłoszone zostały przepisy: o przechowywaniu i wydatkowaniu funduszu kar w fabrykach, o składzie osobistym komisji, mających na celu podania w kwestyi kolei podjazdowych w guberniach polskich.—Naczelnik kraju wydał rozporządzenie, aby żydzi popisowi, otrzymujący zwłokę z powodu choroby i t. p., byli odsyłani do superwizyi etapem.—Dnia 1 (13) maja b. r. mają być wykupione 4<sup>1</sup>/<sub>2</sub>% konsolid. obligacje kolei żelaznych zamienione na 3<sup>0</sup>/<sub>0</sub>-owe, na sumę 80 mil. rs. w złocie.—Według przepisów ustawy fabrycznej, właściciele zakładów przemysłowych obowiązani są ponosić koszt leczenia robotnika, którego choroba nastąpiła wskutek spełniania obowiązków, nawet w takim razie, gdyby robotnik leczył się w domu.—Wskutek otwarcia granicy niemieckiej dla bydła, komitet weterynaryjny wydał przepisy, mające na celu zapobiedz rozprzestrzenieniu się epizooty.

— **Życie społeczne.** Z pomiędzy 21,810 osób, zarządzających fabrykami i t. p., tylko 7<sup>0</sup>/<sub>0</sub> otrzymało wykształcenie techniczne (wyższe, średnie i niższe). Dla zbadania tego faktu ma być utworzona komisya.—Dzięki usiłowaniu grupy osób, stanowiących redakcyję *Wisły*, istnienie Muzeum etnograficznego w Warszawie zostało zapewnionem.—Rada państwa ma rozpatrywać w bieżącym miesiącu projekt unieruchomienia działów włościańskich. Prawo to nie będzie obowiązywać w Królestwie.—Czytelnia akademicka we Lwowie otrzymywała w 1890 r. 7 pism za całkowitą, 21 za zniżoną cenę i 74 bezpłatnie. Kółko krojoznawcze wygłosiło 8 odczytów, kółko prawników 3.—W Warszawie praktykuje 480 lekarzy i 2 lekarki. Podług narodowości: 254 polaków, 111 żydów, 101 rosyjan, francuzów i Niemców po 8, 6 litwinów i 1 czech.—W Saksonii pracowało w r. z. 21,000 robotników polskich.—W Sosnowicach miejscowa drukarnia zakłada czytelnio.—Muzeum rzemiosł posiada obecnie 30,000 rs. Jak na potrzeby takiej instytucji zbyt drobna to suma.—W ubiegłym roku popełniono w Łodzi: 16 samobójstw, 20,000 kradzieży i 50 napadów.—Kilku ogrodników warszawskich zawarło spółkę p. n. „Flora.”—Założone zostało towarzystwo spożywcze urzędników kolei warszawsko-petersburskiej.—Nowootworzona ochrona wolska w Warszawie, choć urządzona na 80 dzieci, zmuszona była pomieścić 100. Fakt ten wskazuje na wielkie zapotrzebowanie w tego rodzaju instytucjach.—W b. r. w Krakowie odbędzie się IV zjazd przyrodników i lekarzy. Komitet prosi o nadsyłanie referatów przed 1-em lipca.—Droga żelazna Petersbursko-warszawska urządza sklepiki przenośne.—Do Ameryki przez Bremę i Hamburg wyjechało w 1890 r. 239,000 osób, o 63,000 więcej niż w 1889 r.

— **Kronika ekonomiczna.** Monopol tytoniowy we Francji przynosi rocznie 240 milionów fr.—Większą połowę dóbr powitgenstejnowskich Topory (28 tys. dzies.) nabyli 3 włościanie ziemiejsowi, resztę—okoliczni.—Kolej kursko-charkowsko-azowska przeszła na własność skarbu.—Likwidacyja Baringów nie przyniesie podobno żadnej straty domom gwarantującym.—Zbiór pszenicy w Stanach Zjednoczonych w r. z. wynosił 400 mil. buszli. Przypuszczalny urodzaj ma wynosić 98,4<sup>0</sup>/<sub>0</sub> przeciętnego.—Różnych fabryk i zakładów przemysłowych znajdowało

się w Łodzi i jej okolicach w r. z. 673 z produkcją roczną 50 mil. rs. i 29 tys. robotników.—Gorzelnie w gub. lubelskiej, kieleckiej i radomskiej wyprodukowały w ciągu ubiegłego roku około 6,000,000 stopni bezwodnego alkoholu.—Departament górniczy postanowił część rządowych zakładów oddać w dzierżawę.—Bank wileński sprzedał 25 majątków, ogółem 9,660 dzies. za sumę 261,774 rs.—Bank szlachecki wystawił na przymusową sprzedaż dóbr ziemskich w kraju północno zachodnim 13, w południowo zachodnim 8.—Zamknięcie fabryki sukna Schultza w Tomaszowie pozbawiło zajęcia 100 robotników. Kolej nadwiślańska wskutek zmniejszenia robót, wymówiła miejsce 18 rzemieślnikom.—Produkcja Włoch wciąż się obniża: w 1889 r. wynosiła 69, w 1890 już 47 miliardów fr.—Robią się starania o wyasygnowanie 220,000 rs. na regulację Wisły koło Warszawy.—W cukrowniach Królestwa pracowało podczas kampanii 1890 r. 16,582 robotników. Zarobek wynosił dla mężczyzn od 4—36 rs., kobiet (których w Królestwie Polskim pracuje stosunkowo daleko więcej niż w Cesarstwie) od 4—12 rs., nieletnich od 3—10 rs. na miesiąc.—Wyróż z zboża z Rosji stanowił: w 1888,—89,—90 r. odpowiednio 486—, 409—, 367 milionów pudów.

— **Szkoly i oświata.** Socjaliści w Berlinie zamierzają założyć uniwersytet robotniczy.—Otwarte zostały w Królestwie następujące szkoły: rządowych jednoklasowych 5, prywatnych 2 klasowych 3, jednoklasowych ogólnych 7.—Z zapisu dr. Z. Piłcockiego, zm. w r. z. Akademia Umiejętności w Krakowie przeznaczyła procent od sumy 40000 zlr. na stypendjum dla studującego historię prawa, literaturę swojską i język. Kandydatem może być dr. jednego z uniwersytetów zagranicznych; pierwszeństwo wszakże mają kandydaci uniwersytetów ruskich.—Rządowe fermy rolnicze dla rozszerzenia znajomości ogrodnictwa będą rozdawać w roku bieżącym szkołom wiejskim nasiona i szczepy w zakresie 20 rs.—Rząd pruski przeznaczył pół miliona marek na poparcie niemieckich szkół w Księstwie, Szląsku i Prusach zachodnich. Niezamożni studenci uniwersytetu otrzymali przywilej bezpłatnego leczenia się w szpitalach.—Do akademii sztuk pięknych w Petersburgu będą przyjmować kończących 4 klasy gimnazjalne.

— **Literatura i sztuka.** Broszurki d-ra Jakubowskiego o pielęgnowaniu dzieci rozeszło się w ciągu miesiąca w Galicji 3,500 egz.—Podczas wielkiego postu ma występować w Warszawie trupa moskiewska Korsza.—Nagrode konkursową imienia Gersona otrzymał malarz K. Alchimowicz.—W r. b. przypada 4-setna rocznica 1-ej książki w języku cerkiewno-słowiańskim, drukowanej w Krakowie.—Dr. M. Massonius dodał do tłumaczenia ruskiego „Grundriss der Gesch. der neuen Philosophie“ Ueberwega treściwy zarys filozofii u Polaków.—Z. Noskowski obchodzi 25-letni jubileusz kompozytorskiej działalności.—Tadeusz Bron. Borodicz, polski kompozytor, napisał operę „Król Lear“.—Towarzystwo politechnicz-

ne we Lwowie wydało mapę hydrogr. Galicji.—Nakładem adw. Szamera wyszedł starannie opracowany „Kalendarzyk sądowy“.—Dla orkiestry warszawskiej opery sprowadziła dyrekcja teatrów muzykantów z Wiednia.—K. Sokółowski wykonał dużą i dokładną mapę gubernii lubelskiej.—Wyszedł z druku: przekład „Zasad higieny“ d-ra C. Flüggego.—A. Rembowski został zatwierdzony redaktorem „Niwy“, wydawcą—A. Kłobukowski radca Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego.—Konkurs „Gazety Radomskiej“ na rozprawę: „Zabezpieczenie dzieci od nieszczęśliwych wypadków“ odroczony został do 1 maja b. r.—Zawiązana została spółka wydawnicza dzieł rolniczych.

— **Nekrologija.** B. Glaser, agronom, zm. w Duchowlanach Grod. g.—Kapustin, znany działacz pisarz w kwestjach włościańskich zm. w Petersburg.—M. Jeziński, belletrysta, zm. w Januszpolu (Wolyń).—Łazarewicz, serbski powieściopisarz, zm. w Belgradzie.—L. Capranica del Grillo, powieściopisarz włoski, zm. w Medjolanie.—L. Delibes, kompozytor muzyczny, zm. w Paryżu.—Redford, jeden z 5 lordów, do których prawie cały Londyn należy, zm. w Londynie.—Z. Jaroszewski, autor wielu rozpraw rolniczych, zm. w Kalwarii.—

### Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

*P. Wład. w Włoszcz.* Zeszyt 2 Instyt. Pol. dołączamy do Nr. 4 Głosu.

*P. G. Wyk. w Polan.* Dzieła d-ra J. K. Ingrama i Fovella jeszcze nie wyszły z druku, po ukazaniu się takich wyszły.

*Dr. W. Kud. w Szak.* Instytucje Obrzędowe wysłałiśmy.

*P. A. Sulk. w Wład.* List pieniężny otrzymaliśmy 10 b. m. Komplet z dwóch pierwszych numerów wysłałiśmy (wskutek przyczyn od redakcyi niezależnych) 15-go stycznia.

*Pani W. Lych. w Kijowie.* Z 3 rs. przysłanych 16 paźdz. 2,25 zaliczyliśmy na IV kw.; 13 listop. na żądanie wysłałiśmy Bellamy—75 kop.—Na I kw. zaliczyliśmy 2 rs. przysłane w styczniu.

*Dr. Bit. w Swisł.* Wskutek niedokładnie podanego nam adresu wysłałiśmy „Głos“ do Swisł. gub. Mińskiej. Obecnie wysyłamy ponownie komplet z 3 num. pod dokładnym adresem.

*P. S. Dobr. w Hrub.* I kw. opłacony. Numery „Głosu“ wysyłamy regularnie za cedulą pocztową, musiały więc dojść; chyba że adres niedokładny?

*P. B. Kiern. w Sarat.* Dokładny rachunek posyłamy listownie.

*P. Dowg. w Mar.* W odpowiedzi w Nr. 1 zaszła pomyłka (zeczerska); nie 3 r. 35; ale 2 r. 35 k.

*P. J. Jablon. w Putił.* Komplet z numerów 1 i 2 wysłałiśmy 15/3 st. za cedulą poczt.

*P. S. Soban. w Sebast.* „Opow. o ciek. i pożytecznych rzeczach“ wyczerpane. Resztę żądanych książek wysłałiśmy.

*P. S. Słom. w Petersb.* Nr. 1 dołączamy do Nr. 4.

*P. L. Dom. w Zopad.* Bellamy wysłany.

*P. A. Zaw. w Wilnie.* Kur. Codz. zaprenumerowany na pół roku.

*P. L. Żem. w Bobr.* Gaz. Sw. 2 egz. zaprenumerowaliśmy na cały rok.—Metody i t. d. wysłane. W innych kwestyjach napiszemy do Pana listownie.

*P. Z. Dziank. w Tar.* Mechanikę Łubieńskiego oddaliśmy dla oceny specjalistom. Wkrótce zamieścimy sprawozdanie z tej książki.

*P. J. Tomasz. w Char.* Wysłałiśmy dziełko d-ra Kosmowskiego, które, według informacji, zasięgniętych u specjalistów i osób praktycznych, uważane jest dotychczas za najlepsze. Wskutek rzadkości w handlu długi czas nie mogliśmy książki tej nabyć.

*P. S. Stan. w Suw.* Za Instytucje Polityczne nie się należy.

*P. Niewiad. w Petersb.* Prenumeratę za I kw. otrzymaliśmy 13 b. m., zaś 15 wysłałiśmy komplet z dwóch numerów.—Bellamy i 1 zeszyt Inst. Pol. posyłamy. Prosimy zwrócić uwagę na odpowiedź w Nr. 1 b. r. Należy się nam 1 rs. 35 kop. Najlepiej udawać się wprost do redakcyi.

*P. A. M-iej w Kon.* Szkice niebawem zaczniemy drukować.

*P. J. Eun. w Rad.* Pomimo chęci, z przyczyn od nas niezależnych nie mogliśmy.

Zalecamy następująco książki pedagoga Plato v. Reussnera: **Powiadki Polsko-Niemieckie**, wydanie II, z 3-ma tabliczkami rycin, obejmujących 48 obrazków. Treść powiastek tych bardzo zajmująca, przeto mogą służyć nietylko do nauki języka niemieckiego, ale także i dla rozrywki przy czytaniu dla tych, co się nie uczą po niemiecku. Cena kop. 20. **Elementarz Polski, wydanie III, z obfitymi (20 do 40) wzorkami pisma, z obrazkami i wzorkami rysunków razem 340 figur**,—opracowany według najnowszej metody ulepszonej, opartej na doświadczeniach pierwszych powag pedagogicznych europejskich. Na nim można nauczyć w 2 do 6 tygodni czytać, pisać, rachować i rysować. Cena w oprawie 25 kop., bez obrazków 20 kop.—**Elementarz Polsko-Niemiecki, Wydanie II, z 14 wzorkami pisma i 200 obrazkami**, z objaśnieniem wymowy, na którym można nauczyć w 1 do 2 miesięcy czytać, pisać i rozmawiać, nawet bez nauczyciela. Cena kop. 35, 15 i 7 1/2. Do nabycia w księgarniach i u autora (P. v. Reussnera) ul. Marszałkowska 142 w Warszawie.

## OGŁOSZENIA GŁOSU.

Adres: ulica Niecała  
Nr. 12.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu  
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedia  
Encyklopedia  
Encyklopedia

**E. H.**

Humoru  
Humoru  
Humoru

Cena tomu opłaconego z góry 2 rs. Wychodzi mniej więcej w odstępach tygodni.

Wyszedł z druku zeszyt XXXIII.



**ZAKŁAD OPTYCZNO-CHIRURGICZNY  
JULJANA DREHERA**  
Szpitalna Nr. 6.

Poleca: Pince-nez, Okulary, Lornetki teatralne, z pierwszorzędných fabryk w najnowszych fasonach, Barometry, Termometry, Woreczki higieniczne, zabezpieczające i skład środków opatrunkowych, oraz wszelkie wyroby optyczne, po cenach bardzo niskich. Przyjmują się reperacje.

Nowy Świat Nr. 31 (Róg Chmielnej)  
Najtaniej

Zegarki złote, srebrne, niklowe i stalowe najcelniejszych fabryk Geneeskich jako nowość, nakręcające się co 8 dni. Zegary stołowe i ściennie, Szkatułki samogrające

Bżuteryje złote i srebrne najnowszych fasonów, oraz wszelkie reperacje poręcza się na lat dwa. Zamówienia z prowincyi wysyła się za zaliczką pocztową. Cenniki franco.



12—12

**M. POZZI**  
W WARSZAWIE

Nr 31 NOWY ŚWIAT ROG CHMIELNEJ. Nr 31

**DOSTAWCA DWORU**  
Cesarsko - Austryjacko - Węgierskiego.



**DYWANY** wszelkie pokrycia meblowe, Kołdry, Kapy, Chodniki. Serwety, najlepiej kupować w głównym składzie Giełżyńskiego, Marszałkowska 137.

**NOWELLE A. L. KIELLANDA**  
Paryż 1890. Cena kop. 15.  
Skład główny u G. Centnerszvera.

We wszystkich księgarniach i w redakcyi „Głosu“ jest do nabycia książka dla ludu p. t.

**O SUCHOTACH CZYLI GRUŻLICY**  
jak się tej choroby wystrzegać

napisał  
**Sewer Ster, lekarz.**  
Cena 2 1/2 kop. (pięć groszy).

Wyszły z druku i są do nabycia we wszystkich księgarniach

**KÓŁKA ROLNICZE**  
W GALICJI  
przez  
Jadwigę z Szczawińskich Dawidową  
(odbitka z Głosu).  
Cena 15 kop.

**Niszczy grzybek drzewny i osusza wilgoć raz na zawsze i t. p.**

**Broszurkę**, niezbędną dla każdego budującego wysłać franco i bezpłatnie.

Wyn. Inż. Tech. G. RITTER  
Królewska Nr. 39.